

Original francuski:
Ce qu'on voit et ce qu'on ne voit pas

15299221
Tłumaczenie: Piotr Stachura

Projekt okładki: Andrzej Kozłowski

Copyright for the Polish translation (C) 2002 by
Piotr Stachura



ISBN 83-88017-06-3

Instytut Liberalno-Konserwatywny
ul. Judyta 8, 20-716 Lublin
ilk@platon.man.lublin.pl
www.ilk.lublin.pl

ISBN 83-915648-0-0

Wydawnictwo Dextra
40-956 Katowice 2, skr. poczt. 510
dextra@dextra.pl
www.dextra.pl

Niniejsza publikacja ukazuje się dzięki pomocy
pana Jana M. Małka z Torrance w Kalifornii
oraz Fundacji ATLAS z Fairfax w Wirginii.

Skład i tamanie: JIS Lublin
Druk i oprawa: Drukarnia GS sp. z o. o. Kraków

BIBL. UAM

0003 EO 8

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA: Bastiat, czyli o skutkach
niezamierzonych w ekonomii (Jan Winięcki) 7

CO WIDAC I CZEGO NIE WIDAC 13

1. Rozbita szyba 14
2. Demobilizacja 16
3. Podatki 18
4. Czy państwo powinno dotować sztuki? 22
5. Roboty publiczne 26
6. Pośrednicy 29
7. Protekcjonizm 34
8. Maszynny 38
9. Kredyt 43
10. Algieria 45
11. Oszczędność i zbytek 49
12. Prawo do pracy, prawo do zysku 53

NOTA O AUTORZE (Piotr Stachura) 57

INDEKS OSÓB 61

PRZEDMOWA
BASTIAT,
CZYLI O SKUTKACH NIEZAMIERZONYCH
W EKONOMII

Fryderyk Bastiat (1801-1850), francuski polityk liberalny i ekonomista — jak powiedzielibyśmy dzisiaj — wolnorynkowej orientacji, był niezrównanym polemistą. Ostrze jego pióra kłuło szczególnie dotkliwie tych wszystkich, których wypowiedzi pozostawały w niezgodzie z logiką ekonomii. Znane wezwanie do swych adwersarzy: „Łaski panowie! Szanujcie przynajmniej arytmetykę”, pojawia się także i w prezentowanym tutaj eseju [s. 21].

Często stosowany przez Bastiata sposób prezentacji wywodu, znany jako *reductio ad absurdum*, ujawniał nonsensowność pozycji skądinąd uznanych za godne rozważenia. W podrozdziałach międzynarodowego handlu, w części poświęconej polityce handlowej, często pojawia się apokryf jego pióra — *Petycja producentów świata* — jako przykład absurdalności ekonomicznej protekcjonizmu. Bastiat, parodiując argumenty zwolenników ochrony krajowych producentów, domagał się, w imieniu producentów świata, zakazu używania niefrancuskiego produktu konkurującego skutecznie przez większą część doby z francuskimi światłami, a mianowicie... światła słonecznego.

Szczególnie ostro krytykował on, według obecnej terminologii, interwencjonistów różnych orientacji ideologicznych, którzy zmierzali do osiągnięcia chwalebnych — ich zdaniem — celów, bez zrozumienia elementarnych zasad ekonomii. W efekcie, ich działania wywołały zupełnie niezamierzone i — z reguły wielce



szkodliwe — następstwa. Używając terminologii prezentowanego eseju, podkreślał on, że należy wżyć skutki tego co widać i tego czego nie widać na pierwszy rzut oka.

Bastiat nigdy nie polemizował z celami i swoich adwersarzy, lecz jedynie z argumentacją ekonomiczną, uzasadniającą wydatkowanie pieniędzy podatników na owe cele, wskazując na negatywne niezamierzone konsekwencje proponowanych kroków. Esej poświęcony jest właśnie prezentacji „drugiej strony monety”, temu, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Przykład za przykładem, przedstawiane z nieubłąganą logiką przez Bastiata, ukazują, że pieniądze wydatkowane przez państwo w rozny sposób i w różnych dziedzinach życia niczego nie dodają do zasobów materialnych ludności, lecz jedynie dokonuje się redystrybucji tego, co już zostało wytworzone.

Prace publiczne zatrudniają wprawdzie określoną liczbę osób, co jest podnoszone z triumfem przez zwolenników robót publicznych, urzędy publiczne wydają pieniądze na rozmaite cele, dając zatrudnienie rzeszom wytwórców, ale — pisze Bastiat — to nieprawda, że wydatki publiczne utrzymują ludzi przy życiu. Te same pieniądze, wydatkowane z kasy publicznej, pozostawione podatkownikom także włączone zostałyby do gospodarczego krwioobiegu. I to często z lepszym skutkiem ekonomicznym, ponieważ nie wszystkie usługi publiczne są ekwiwalentne do płaconych podatków.

W eseju dostaje się także zwolennikom protekcjonizmu. Przykład użyty przez Autora, dotyczący cel nałożonych przez Francję na importowane z Belgii żelazo, jest bardziej realistyczny niż ten użyty we wspomnianym apokryfie, ale nie czyni to wcale argumentacji ekonomicznej protekcjonistów mniej absurdalną. Bastiat podkreśla to, co ekonomiści zajmujący się handlem międzynarodowym wiedzą niejako „od zawsze”, że ochrona krajowych producentów dokonuje się zawsze i wszędzie kosztem konsumentów danego dobra w kraju chroniącym krajowych producen-

Chociaż i dziś jeszcze podziwiamy siłę argumentacji i polemiczną swadę Autora eseju *Co widać i czego nie widać*, to jednak sam Autor przeżywał okresy zwątpienia. „Mój Boże, jak ciężko w ekonomii dowieść, że dwa i dwa daje cztery. Gdy to się uda, [...] ludzie mimo to znowu zagłosują] tak, jakby nic nie zostało powiedziane.” [s. 21].

Zwątpienie brało się z faktu, że w czasach Bastiata nie istniała jeszcze teoria logiki działań zborowych Mancura Olsona, ani teoria wyboru publicznego Jamesa Buchana, Gordona Tullocka i innych. Bastiat wierzył w uczciwość swoich adwersarzy i w możliwość zmiany przez nich poglądów pod wpływem logicznej argumentacji. Nie dostrzegał, na ówczesnym etapie myśli ekonomicznej tego, co już kilkadziesiąt lat przed Olsonem i Buchanem nie uszło uwadze Vilfreda Pareto. W 1927 r., w swoim *Manual of Political Economy*, pisał on:

Nawet jeśli zostałoby to jasno zademonstrowane, że protekcjonizm zawsze pociąga za sobą zniszczenie bogactwa, nawet gdyby tego uczonego obywateli wówczas, gdy uczy ich się abecadła, protekcjonizm utraciłby tak niewielką liczbę zwolenników, a wolny handel zyskałby tak niewielu spośród nich, że efekt tych poczynań mógłby zostać niemal w zupełności, a może nawet zupełnie, pominięty w rozważaniach. Motywy, które oddziałują na ludzkie poczyny są zupełnie inne.

Aby wyjaśnić dlaczego ci, którzy głoszą protekcjonizm są z taką łatwością słyszani, należy uzupełnić to co napisano powyżej rozważaniami dotyczącymi ruchów społecznych w ogólności. [...] Jeśli jakies posunięcie spowoduje stratę jednego franka przez każdą z tysiąca osób i zysk tysiąca franków przez jedną osobę, ta osłania zużyte wiele energii, podczas gdy ci pierwsi będą stawiali raczej niewielki opór; jest więc prawdopodobne, że ten, kto czyni starania prowadzące do zyskania tysiąca franków zakończy je sukcesem.

Posunięcia protekcjonistyczne przynoszą wielkie korzyści niewielkiej liczbie beneficjentów i przynoszą wielkiej liczbie konsumentów niewielkie straty. W tych warunkach łatwo jest wprowadzać w życie protekcjonistyczne posunięcia.

Zwolennicy protekcjonizmu mają więc swój interes w tym, ażeby domagać się ochrony swojej pozycji na rynku i nie przekonać ich żadne argumenty, nawet przedstawione z bastiatowską nieubłaganą logiką. Politycy i biurokraci też mają swoje interesy i gdy te wchodzą w konflikt z interesem publicznym zwykle ten ostatni ustępuje interesom wymienionych grup. Najlepiej nawet argumentowana teza nie zrobi na nich wrażenia, jeśli wiódźcie będą swój interes w zyskaniu sobie poparcia lobby domagającego się protekcji.

Niepokoiło to Bastiatą, czemu dał wyraz w prezentowanym eseju, pisząc, że „są ludzie, którzy uważają, że kradzież traci całą swoją niemoralność, gdy staje się legalna” [s. 37]. Osobiście uważał taką sytuację za wysoce alarmującą. Chociaż kontekst tej wypowiedzi dotyczył protekcjonizmu w handlu międzynarodowym, nie sposób nie zauważyć głębokiego sceptycyzmu Bastiaty w odniesieniu do podatków, których ograniczenia domaga się on w prezentowanym eseju głównie pośrednio, argumentując na rzecz wyraźnego ograniczenia zakresu i skali wydatków publicznych. W innym swym eseju pisze już wyraźnie o podatkach i o wydatkach, tych wspaniałych instrumentach, za pośrednictwem których każdy stara się żyć na koszt kogoś innego.

Bastiatowi niedaleko do piszącego sto lat po nim włoskiego liberalnego prawnika, Bruno Leoniego [*Freedom and the Law*, wyd. trzecie, 1991], który zwracał uwagę na podobieństwo między napaścią w ciemnej ulicy i wynikającą z niej utratą portfela na rzecz „przejściowej większości”, tj. znajdujących się w przewadze rozbójników, a grabieżą w majestacie prawa, czyli uchwaleniem podatków, których celem jest redystrybucja dochodów, także przez „przejściową większość” parlamentarną. I w jednym, i w drugim wypadku niepewność dotycząca przyszłego stanu posiadania wzrasta, według Leoniego, bardzo poważnie....

Ważnym przesłaniem eseju jest też liberalna wizja państwa, które nie powinno zastępować obywateli w ich działaniach ekonomicznych — i pozaeconomicznych. Wezwanie do redukcji wydatków i podatków bierze się z filozofii ekonomicznej wyznawanej

nej przez Bastiatą. Podkreśla on w prezentowanym eseju — jak i gdzieś indziej — że porządek, w jakim zaspokajane są potrzeby obywateli powinien być dyktowany przez nich samych. Wybór powinien należeć do tych, którzy bogactwo tworzyli, a nie do polityków.

Odrzucał on — i słusznie — jako demagogiczny argument, że jeśli się jest przeciwnikiem subsydiów dla jakiegś dziedziny ludzkiej działalności, to znaczy, że się jest przeciwnikiem danej dziedziny działalności. W eseju polemizuje on z poetą epoki romantyzmu i politykiem, Alphonssem de Lamartinem, który dramatycznie pytał, gdzie jest koniec drogi, na początku której cofa się subydiom dla teatru. Czy nie skończy się to zamknięciem teatrów, muzeów, bibliotek, uniwersytetów. Odwraca on argument Lamartine'a i pyta, gdzie jest koniec od subsydiowania *wszystkiego*, co uważa się za pożyteczne. Czy w ślad za nauką, kulturą, i sztuką, nie przyjdzie subsydiować innych, niewątpliwie potrzebnych dziedzin ludzkiej działalności: rolnictwa, handlu, przemysłu, oświaty, filantropii? Jak widać, Bastiat miał — niestety! — rację, gdyż wszystkie te dziedziny podlegają w jakimś, mniejszym lub większym, zakresie subsydiowaniu w naszych czasach.

Zwolenników interwencji państwa — zwraca uwagę Bastiat — cechuje szczególnie spojrzenie na rzeczywistość społeczną. Otóż dla interwencjonistów jakakolwiek działalność ludzka istnieje o tyle tylko, o ile jest subsydiowana lub regulowana. Używając przenośni, można by powiedzieć, że nie wierzą oni w życie poza subsydiowane i pozaregulowane. Bastiat natomiast stwierdzał coś wręcz przeciwnego: moja wiara jest wiarą w ludzkość, nie we współnotę uprawiających rozdawnictwo cudzych pieniędzy polityków...

Wiele takich perełek logiki i ekonomii znajdujemy w eseju Bastiaty, do przeczytania którego gorąco zapraszam.

Jan Winiecki¹

¹ Autor przedmowy jest profesorem ekonomii i kierownikiem katedry międzyina-

CO WIDAĆ I CZEGO NIE WIDAĆ

W ekonomii każdy czyn, zwyczaj, prawo lub instytucja nie polega zwykle jednego a wiele następstw. Z nich jedne są naturalnymi — te widać, inne pojawiają się stopniowo — tych nie widać. Dobrze, kiedy możemy je przewi-
dzieć.

Między złym a dobrym ekonomistą jest tylko jedna różnica: pierwszy dostrzeża i bierze pod uwagę skutki widoczne i bezpośrednie, drugi przewiduje również odcie.

Ta różnica ma jednak zasadniczy charakter, gdyż prawie zawsze [skutki] bezpośrednie są odmienne od ostatecznych. Stąd dły ekonomista szuka niewielkiej aktualnej korzyści i przedkłada ją nad wielkie straty w przyszłości, dobry szuka korzyści trwałych, ryzykując nawet przejściowe ofiary.

Podobnie jest w innych dziedzinach życia i moralności. Im słabsze pierwsze owoce, tym bardziej gorzkie kolejne. Przykładem — rozpuśta, lenistwo, rozrzutność. Człowiek przyciągnięty przez to, co widać, nie nauczywszy się jeszcze sądzić po tym, czego nie widać, oddaje się zgnubnym zwyczajom nie tylko przez słabość lecz także przez wyrachowanie.

To tłumaczy tak bolesną ewolucję ludzkości. U jej źródła leży ignorancja. Uтверdza się ona w swym postępowaniu śledząc pierwsze jego następstwa, jedyne, jakie jest w stanie dostrzec. Dopiero później musi brać pod uwagę inne. Dwaj mistrzowie, bardzo odmiennej natury, uczą ją tego: Doświadczenie i Przewi-

rodowego handlu i finansów na Uniwersytecie Europejskim — Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Jest on członkiem *Moritz Pelerin Society*, prestiżowego międzynarodowego stowarzyszenia zwolenników myśli liberalnej, założonego w 1947 roku przez Friedricha Augusta von Hayeka oraz współzałożycielem i pierwszym prezydentem Centrum im. Adama Smitha w Warszawie. Pełnił też szereg funkcji doradczych, był m. in. członkiem komitetu doradczego prezydenta Lecha Wałęsy. Piastował też funkcję dyrektora wykonawczego Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju w Londynie [red.].

dywanie. Doświadczenie działa skutecznie lecz brutalnie. Uczy o skutkach naszych czynów dając nam je odczuć — kiedy leżymy na stosie musimy uwierzyć, że ogień pali. Tego surowego nauczyciela chciałbym, tak dalece, jak jest to możliwe, zastąpić laudniejszym: Przewidywaniem. Dlatego zbadam skutki niektórych ekonomicznych poczynań przeciwstawiając temu, co widać, to, czego nie widać.

1. ROZBITA SZYBA

Czy byliście kiedyś świadkami furii pocziwego mieszczanina, gdy jego niesformny syn zbił szybę? Jeżeli uczestniczyliście w tym przedstawieniu, z pewnością zauważyliście, że wszyscy widowie, choćby było ich trzydziestu, pocieszali nieszczęśliwego właściciela słowami: „W pewnej mierze jest z tej straty jakiś pożytek. Takie wypadki sprawiają, że przemysł ma zajęcie. Wszak ludzie muszą z czegoś żyć. Co stałoby się ze szklarzami, gdyby nigdy nie tłumiono szyb?”

W tych słowach odnajdujemy zastosowaną do najprostszego przypadku doktrynę, która, niestety, kieruje większością naszych ekonomicznych instytucji.

W pełni zgadzam się ze zdaniem, że wypadek ten dostarczy pracy i zarobku szklarzowi. Przyjdzie on, zrobi co do niego należy, zgaranie 6 franków i w sercu będzie dziękował niesformnemu dziecku. To widać. Ale jeżeli, jak to się bardzo często dzieje, dochodzi się do wniosku, że dobrze jest wybić szyby, bowiem przyspiesza to obieg pieniądza i wspomaga przemysł, to muszę zakrzyknąć: „Stop!” To rozumowanie opiera się na tym, co widać, a nie uwzględnia tego, czego nie widać.

Nie widać, że ponieważ nasz mieszczanin wydał 6 franków na jedną rzecz, nie będzie mógł nabyć innej. Nie widać, że mając do wymiany szybę, nie może wymienić swych statygo-

wanych butów lub kupić nowej książki. Krótko mówiąc, wydałby swoje 6 franków dając zatrudnienie innej niż szklarz osobie.

Wzłomny teraz pod uwagę przemysł jako całość.

Wzłomna została zbita, szklarze i producenci szyb dostali sześć franków — to widać.

Gdyby wypadek nie nastąpił, pieniądze poszłyby do innego przemysłu — tego nie widać. Zatem dla przemysłu jako całości obojętne jest, czy szybę są bite czy nie.

A jak wygląda rachunek naszego mieszczanina?

W przypadku zbitej szybę wydaje on pieniądze i nie ma nic więcej, niż poprzednio.

Gdyby szyba nie została zbita, kupiłby nowe buty i mógłby używać i z butów, i z szyb.

Pomlewał stanowi on część społeczeństwa stwierdzamy, biorąc je jako całość, że traci ono wartość szyb.

W ten sposób, uogólniając, dochodzimy do nieoczekiwanej konkluzji: „Społeczeństwo traci, gdy rzeczy są bezużytecznie niszczone” — i do stwierdzenia, które powinno zjeżyć włosy na głowie wszystkim zwolennikom protekcjonizmu: „Niszczenie, marowanie — nie przynosi korzyści gospodarce, nie daje zysku”.

Cóż zatem powiecie panowie z „Monitora przemysłowego”, uczniowie pocziwego pana de Saint-Chamans², który z taką precyzją wyliczył zyski, jakie odniosłyby przemysł z pożaru w Paryżu, z racji konieczności odbudowy domów.

Przykro mi obalać ten zmysłny rachunek, tym bardziej, że znalazł on zrozumienie w Parlamencie. Proszę jednak zrobić go raz jeszcze licząc to, co widać i to, czego nie widać.

Trzeba, aby czytelnik dobrze zrozumiał, że w scenie, którą przedstawiłem pod jego rozważę występują nie dwie, a trzy postaci. Pierwsza — nasz mieszczanin — reprezentuje konsumenta, pozbawionego przez zniszczenie swojego dobra. Druga — szklarz — to przedstawiciel producentów, którzy zyskują wskutek wy-

¹ Auguste Wicrhabia de Saint-Chamans (1777-1861) — deputowany i radca stanu, zwolennik protekcjonizmu.

padku. Wreszcie trzecia — to szewc (lub przedstawiciel dowolnej innej dziedziny) z tej samej przyczyny ponoszący stratę. Ta trzecia osoba zawsze pozostaje w cieniu i symbolizuje to, czego o nie widać. Ona jest nieodczuwana, by zrozumieć, jak absurdalne jest dopatrywanie się zysku w zniszczeniu. Ona również, wkrótce, pouczy nas, iż nie mniej absurdalne jest szukanie korzyści w protekcjonizmie, który w ostateczności nie jest niczym innym, jak częściową destrukcją. Jeżeli dokładnie przyjrzy się argumentom na jego rzecz, znajdziecie tam jedynie przeróbkę tej popularnej maksymy:

„Co stałoby się ze szklarzami, gdyby nigdy nie tłuczono szyb?”

2. DEMOBILIZACJA

Z narodami jest jak z ludźmi. Muszą zdecydować, czy cena jaką płać za zaspokojenie potrzeby nie jest zbyt wysoka. Dla narodu bezpieczeństwo jest dobrem najważniejszym. Jeżeli trzeba w tym celu utrzymywać pod bronią sto tysięcy ludzi i wydawać sto milionów, to trudno. Nie mam nic przeciwko [temu] i nie o tym piszę. Czynię to zastrzeżenie, by nie być opacznie zrozumiانym.

Pewien deputowany zaproponował zmniejszenie armii o sto tysięcy ludzi, by ulżyć podatnikom.

Gdyby odpowiedź brzmiała: „Ci ludzie i wydawane miliony są niezbędne dla bezpieczeństwa narodu. To ofiara, bez której państwo byłoby rozrywane przez zwaśnione frakcje i najechane z zewnątrz” — nie miałbym nic do powiedzenia na ten temat. Stwierdzenie powyższe może być prawdziwe albo fałszywe, nie zawiera jednak ekonomicznej herezji. Herezja zaczyna się, kiedy ofiarę próbuje przedstawić się jako korzyść, bowiem przynosi komuś zyski.

O ile się nie mylę, autor propozycji nie zdążył zejść z mównicy, kiedy pojawił się inny deputowany.

„Zwolnić sto tysięcy ludzi! O czym pan mówi? Co się z nimi stanie? Z czego będą żyli, czy starczy dla nich pracy? Nie wie pan, że wszędzie jej brakuje i wszystkie posady są w niebezpieczeństwie? Chce pan wzmóc konkurencję i obniżyć płace? W czasie, kiedy tak trudno zarobić na życie, czyż nie jest wielkim niezwykłym, że państwo daje na chleb stu tysiącom? Co więcej, niech zważy pan na ilość wina, ubrań i broni zużywaną przez armię. Daje ona pracę wielu fabrykom i niezliczonym dostawcom wokół garnizonów, jest ich wielkim dobroczyncą. Czy nie wzbąga się pan na myśl o zniszczeniu całego tego ogromnego przemysłu?”

Dyskusja owa zakończyła się utrzymaniem stanu armii, bez wspomniania o potrzebach obronności, a jedynie ze względów ekonomicznych. Argumenty te odrzucam.

Sto tysięcy ludzi, kosztujących podatnika sto milionów, żyje i pozwala żyć swym dostawcom: to widać.

Lecz pieniądze te, wychodząc z kieszeni podatnika, pozabawiają jego i jego dostawców wszystkich płynących z nich pożytków: tego nie widać. Oszacujcie, policzcie i powiedzcie, gdzie to korzyść dla ogółu?

Ja, ze swej strony, powiem wam gdzie jest strata. Aby przez uproszczyć, mówmy o jednym człowieku i tysiącu franków.

Jesteśmy w miejscowości A. Odbył się pobór, wojsko zabrało przewieziono do Metz, by pozwolili zarabiać innym przez rok. Jeżeli patrzycie jedynie na Metz, macie po stokroć rację. Dla tego miasta sytuacja to bardzo korzystna. Lecz kiedy zwrócićcie wzrok także na miejscowość A, osądzicie rzecz inaczej. Utrzymacie bowiem, jeżeli nie jesteście ślepi, że A straciło robotnika, tysiąc franków jego zapłaty, całą jego pracę i aktywność.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, iż wszystko się równoważy. Co działo się w A, przeniosło się do Metz i to cała zmiana. Ale oto gdzie jest strata. W A człowiek narzekał i pracował — był robotnikiem. W Metz robi zwroty w przód i w tył — jest żołnierzem. Pieniądze w obu przypadkach krążą tak samo, lecz w pier-

wszym mamy trzysta dni pozytywnej pracy, w drugim trzysta dni zajęcia bezużytecznego, zakładając cały czas, że część armii nie jest już konieczna dla bezpieczeństwa publicznego.

Przechodzi demobilizacja. Pokazujecie sto tysięcy robotników, konkurencję na rynku pracy i nacisk na obniżenie płac. To wi-
dzicie.

Jednak nie widzicie, że odsyłając do domów sto tysięcy żołnierzy, nie niszczyliśmy stu milionów, lecz zwracamy je podatnikom. Nie widzicie, że wraz ze stu tysiącami robotników, pojawia się sto milionów, aby ich opłacić, że środek zwiększający produkcję pracy jednocześnie zwiększa na nią popyt. Wynika stąd, iż przewidywana przez was obniżka wynagrodzeń nie nastąpi. Nie widzicie, że zarówno po, jak i przed demobilizacją, jest w kraju sto milionów dla stu tysięcy, lecz przed — kraj płaci im za bezczynność, po — za pracę. Nie widzicie wreszcie, że czy podatek daje pieniądze żołnierzowi za nic, czy robotnikowi za usługę, krążą one tak samo. Jednak w drugim przypadku jest wykonana pewna praca, w pierwszym nie otrzymuje nic w zamian. Rezultatem dla narodu jest czysta strata.

Sofizmat przeze mnie tutaj zwalczany, nie ostoi się, gdy spróbujemy wyciągnąć z niego ostateczne konsekwencje. Gdyby, zważywszy wszystkie korzyści i straty, okazało się, iż zyskiem dla narodu jest zwiększanie armii, dlaczegoż nie zaciągnąć pod sztandary wszystkich sprawnych obywateli?

3. PODATKI

Czy nigdy nie słyszeliście:

„Podatki to najlepsze biuro zatrudnienia, to życiodajna rosa. Spójrzcie, ilu rodzinom pozwalały przeżyć, przesiedźcie ich wpływ na gospodarke — jest nieskończony. One dają jej życie.”

Abym zwalczyć ten pogląd, częściowo powtórzę poprzednie rozumowanie. Wiem dobrze, że argumenty ekonomiczne nie są

tyłe zabawne, by ciągle je powtarzać, ale przywołuję na pomoc przywołowie: *repetita docent*.

Place urzędników i korzyści tych, u których je wydają wi-
dad. Szkoła, jakie ponoszą podatnicy i ich potencjalni dostawcy
nie widać, choć powinni być oczywiste dla każdego, kto
próbuje ocenić używa też rozumu. Kiedy urzędnik wydaje sto *sous*
wteń, oznacza to, że podatek wydaje sto *sous* mniej. Jednak
wydatki urzędnika widać, ponieważ się dokonały, podczas gdy
wydatków podatników niestety nie widać — nie pozwolono im
się dokonać.

Powinujecie naród do wysuszonej ziemi i podatki do zba-
wionego deszczu. Niech będzie. Ale powinniście zastanowić się,
gdzie jest jego źródło i czy to nie podatki właśnie osuszają glebę.
Pomyślcie także, czy jest możliwe, aby ziemia otrzymywała do-
kładnie tyle cennej wilgoci w postaci deszczu, ile traci przez pa-
rowanie.

Jest najzupełniej pewne, że kiedy Jakub Poczciwiec³ odlicza
sto *sous* dla poborcy podatków, nie otrzymuje nic w zamian.
Kiedy urzędnik wydając pieniądze wręcza je Jakubowi, czyni to
w zamian za dostarczony towar lub pracę. Ostatecznym rezulta-
tem dla Jakuba jest strata.

Prawdą jest, że często — niech będzie najczęściej — urzędnik
świadczy Poczciwcowi usługę potrzebną i wartą zapłaty. W tej
sytuacji nie ma straty z żadnej strony, jest wymiana. Moja argu-
mentacja nie dotyczy w żadnej mierze usług pozytywnych. Mówię
jedynie: jeśli chcecie stworzyć nowe stanowisko, wykażcie je-
go użyteczność. Wykażcie, że to, co daje podatnikowi, jest warte
jego zapłaty. Ale nie przywołujcie jako argumentu zysków, jakie
przynosi urzędnikowi, jego rodzinie i otoczeniu, nie mówcie, że
tworzy się nowe miejsca pracy.

Kiedy Jakub daje pieniądze urzędnikowi za usługę rzeczywistą,
nie użyteczną, to jakby dawał szewcowi za parę butów. Lecz gdy
zaniósł owe pieniądze nie otrzymując nic lub otrzymując utrudnie-

³ fr. Jacques Bonhomme — postać symbolizująca szarego obywatela i podatnika.

nia, to tak jakby oddawał je złodziejowi. Nic tu nie pomoże gadanie, że wydatki urzędnika przynoszą pożytek gospodarce narodowej — to samo dotyczy wydatków złodzieja, to samo Jakuba, gdyby nie spotkał na swej drodze pasażera, legalnego lub nie. Zatem nauczmy się sądzić rzeczy nie tylko po tym, co widać, ale też po tym, czego nie widać.

W ubiegłym roku byłem członkiem Komisji Finansów.⁴ Młuszę przyznać, że za rządów Konstytuanty członkowie opozycji nie byli systematycznie usuwani ze wszystkich komisji i w tym zakresie Konstytuanta działała poprawnie. Pan Thiers⁵ mówił: „Spełniłem życie walcząc z ludźmi z partii legitimistów i klerykałami. Od kiedy zagraża nam wspólne niebezpieczeństwo, od kiedy ich częścię spotykam i poznaję, od kiedy szczerze rozmawiamy, zdalem sobie sprawę, że nie są takimi potworami, jak mi się wydawało.” Zgoda, nieufność i niechęć są wyolbrzymiane i narastają pomiędzy oddzielnymi od siebie grupami, i gdyby rządząca większość pozwoliła członkom opozycji brać udział w komisjach, przekonałaby się, iż ich poglądy nie są tak oddalone, a przede wszystkim, intencje tak przewrotne jak przypuszcza.

Jakkolwiek by było, w roku ubiegłym byłem członkiem Komisji Finansów. Ilekroć ktoś mówił o utrzymaniu wydatków Prezydenta, ministrów i ambasadorów na umiarkowanym poziomie odpowiadano mu: „Dla dobra służby publicznej należy otaczać pewne stanowiska splendorem. To środek dla przyciągnięcia ludzi zasłużonych. Niezliczeni nieszczęśnicy zwracają się do Prezydenta Republiki. Wymuszając, by wszystkim odmawiał pomocy, stawiamy Go w bardzo przykrej sytuacji. Pewna wystawność gabinetów ministerialnych i służby dyplomatycznej jest konieczna dla podtrzymywania prestiżu konstytucyjnego rządu itd.”

Choć te argumenty mogą być kontrowersyjne, z pewnością zasługują na poważne rozpatrzenie. Bazują na interesie publicz-

ny, dobrze lub źle pojmowanym i, jeżeli chodzi o mnie, nie robię z tego problemu, w przeciwieństwie do wielu naszych Katołów wiedzionych przez ducha skąpstwa i zawiści.

Ale to, przeciwko czemu buntuje się moja ekonomiczna wiedza, to, co wywołuje rumieniec wstydu za poziom intelektualny naszego kraju, to ten absurdalny, zawsze dobrze przyjmowany banał: „Przeprych wysokich urzędników państwa sprzyja rozwojowi sztuki, przemysłu, tworzy nowe miejsca pracy. Wydając pieniądze i organizując festyny, ministrowie ożywiają wszystkie części społeczeństwa. Ograniczyć ich wydatki, to zniszczyć przemysł pański i, konsekwentnie, gospodarkę narodową.”

Taki panowie! Szanujcie przynajmniej arytmetykę i nie wybiegajcie przed Zgromadzeniem Narodowym Francji mówiąc, aby uzyskać jego aprobatę, że dodawanie od góry do dołu daje inny wynik, niż od dołu do góry.

Umawiam się z robotnikiem, że wykopie rów na moim polu. Umawiamy się na 100 sous. W tym momencie przychodzi polowa podatkowy, zabiera moje pieniądze, przekazuje je ministrowi i pan minister dokłada danie do swego obiadu. Na jakiej podstawie ośmielacie się twierdzić, że ten jego wydatek coś dodaje gospodarce. Nie rozumiecie, że to tylko przesunięcie pracy i zapotrzebowanej potrzeby. Stół ministra lepiej zastawiony, to prawda, ale pole rolnika nadal zabagnione — to też prawda. Zgadzam się, że restaurator paryski zarobił 100 sous, lecz zgódźcie się, że robotnikowi na prowincji 100 sous odebrano. Wszystko co można powiedzieć to to, że danie ministra i zadowolonego restauratora widać, pozabawionego pracy człowieka i podmokłego pola nie widać.

Moji Boże, jak ciężko w ekonomii dowieść, że dwa i dwa daje cztery. Gdy to się uda, słychać krzyk: „To także oczywiste, naturalnie nas.” Potem głosowanie. Znowu tak, jakby nic nie zostało powiedziane.

⁴ Bastiat został deputowanym w 1848 r.

⁵ Ludwik Adolf Thiers (1797-1877) — historyk i polityk, w 1830 r. jeden z twórców monarchii Ludwika Filipa, dwukrotny premier w okresie jego panowania, prezydent Komuny Paryskiej, prezydent Republiki w latach 1871-73.

4. CZY PAŃSTWO POWINNO DOTOWAĆ SZTUKĘ?

Wiele można powiedzieć za i przeciw. Dla poparcia systemu dotacji wypada stwierdzić, że sztuka uwzniośla duszę narodu, odrywa ją od trosk materialnych, daje zmysł piękną i w ten sposób wpływa korzystnie na jego zwyżcając, moralność, a nawet przemysł. Możemy się zastanawiać, jaka byłaby muzyka francuska bez Konserwatorium, malarstwo i rzeźba bez naszych galerii, sztuka dramatyczna bez Teatru Francuskiego. Idźmy dalej i zapytajmy, czy bez dotacji i centralizacji sztuk pięknych rozwinięłyby się ten wyrafinowany smak, który pomaga francuskim towarzom na całym świecie. Czy w tej sytuacji nie byłoby wiele nieostrożnym rezygnować ze skromnej składki naszych obywateli, która ostatecznie jest przyczyną przewagi i chwały Francji w Europie?

Tym racjom i wielu innym, którym nie odmawiam siły, można przeciwstawić nie mniej ważne. Na początek istnieje problem sprawiedliwości rozdzielczej. Czy prawo ustawodawcy idzie tak daleko, że może on zmniejszać płace rzemieślnika na korzyść aktora? Pan Lamartine⁶ powiedział: „Jeżeli znieścienie dotacji do teatrów, gdzie zatrzymacie się na tej drodze? Czy nie będzie logiczne znieść je dla uczelni, muzeów i bibliotek?” Można Mu odpowiedzieć: „Jeżeli chcecie dotować wszystko, co dobre i pożyteczne, gdzie zatrzymacie się na tej drodze? Czy logicznie nie doprowadzi to do upaństwowienia rolnictwa, przemysłu, handlu i dobroczynności.” Dalej, czy jest pewne, że dotacje sprzyjają rozwojowi sztuki? To pytanie dalekie jest od odpowiadzi i widzimy, że najlepiej działała teatry, które utrzymują się z własnych środków.

⁶ Alfons Maria Ludwik de Lamartine (1790-1869) — poeta romantyczny, członek parlamentu od 1833 r., członek Rządu Tymczasowego w 1848 r., on to proklamował republikę w paryskim ratuszu 24. lutego 1848 r.

Wreszcie, stawiając rzecz na wyższym poziomie, trzeba zauważyć, że ludzkie potrzeby i wymagania rosną i stają się coraz bardziej wyrafinowane, w miarę jak wzrastająca zamieszkałość społeczeństwa jest w stanie je zaspokajać. Rząd nie powinien się w to mieszać, ponieważ przy danej ilości środków, nie może, przez podatki, pobudzać dziedzin przemysłu służących luksusowi bez blokowania rozwoju najbardziej podstawowych. Odwracanie naturalnego porządku ludzkich potrzeb, sztuczne przemieszczanie środków i ludzkiej pracy, tworzy sytuację niebezpieczną, która nie ma solidnej podstawy.

Takie argumenty, dotyczące wyboru kolejności, w jakiej obywateli chcą zaspokajać swoje potrzeby i — w konsekwencji — działań ich aktywności, przywołują przeciwnicy interwencji państwa w finansowanie sztuki. Co do mnie, to uważam, że wybór powinien być dokonywany na dole, a nie na górze, przez obywateli, a nie przez ustawodawcę. Doktryna przeciwna prowadzi do znieszczenia wolności i godności ludzkiej.

Jednak o co oskarża się ekonomistów, fałszywie i niesprawiedliwie? O to, że odrzucając dotację, odrzucają samą rzecz dotowaną i są wrogami całych obszarów ludzkiej działalności. My zaś chcemy jedynie, aby dziedzińcy te, pozostając wolnymi, same znalazły dla siebie środków. Domagamy się, by państwo nie mieszało się, przez podatki, do religii — jesteśmy ateistami. Domagamy się tego samego w szkolnictwie — nienawidzimy nauki. Mówimy, że państwo nie powinno, przez podatki, sztucznie zawyżać wartości ziemi w stosunku do przemysłu — jesteśmy wrogami własności i pracy. Sądzimy, że państwo nie powinno dotować sztuki — jesteśmy barbarzyńcami uważającymi sztukę za niepożadną.

Protestuję z całej siły przeciw tym oskarżeniom. Dalecy jesteśmy od absurdalnych pomysłów o znieszczeniu religii, szkoły, własności i sztuki, kiedy domagamy się, by państwo chroniło swobodny rozwój ich wszystkich, bez kupowania jednych za pieniądze zabrane innym. Przeciwnie, wierzymy, iż w wolnym społeczeństwie one same będą rozwijać się harmonijnie i żadna nie

stanie się, jak to ma miejsce dzisiaj, źródłem kłopotów, nadużyć, zniewolenia i nieładu.

Nasi przeciwnicy sądzą, że dziedzina nie wspomaganą i nie reglamentowaną przez rząd jest skazana na zniszczenie, my — przeciwnie. Oni wierzą w ustawodawcę, nie w ludzi, my raczej w ludzi niż w ustawodawcę. Pan Lamartine: „W imię tej doktryny trzeba będzie zlikwidować wszystkie publiczne ekspozycje, które są dumą i stanowią o wielkości tego kraju.” Moja odpowiedź brzmi: „Z waszego punktu widzenia, nie dotować, to zniszczyć, ponieważ wszystko, co istnieje, istnieje z woli państwa i dzięki podatkom. Ale zwracam przeciwko wam wasz przykład, gdyż musicie przyznać, że największa, najdoskonalsza, najbardziej uniwersalna i, użycia tego słowa nie uważam tutaj za przesadę, ogólnoludzka jest wystawa przygotowana w Londynie, do której nie mieszał się i której nie dotował żaden rząd.

Wracając do sztuk pięknych można, powtarzam, przytaczać różne argumenty i nie jest najważniejszym tematem tej pracy przesądzenie, którym z nich przyznać bezwzględnie pierwszeństwo. Ale p. Lamartine użył jeszcze argumentu, którego nie mogę pominąć milczeniem, gdyż dotyczy ściśle spraw przeze mnie omawianych. Powiedział on, cytując:

Ekonomiczna strona sprawy teatrów streszcza się w jednym słowie: praca. Natura tej pracy nie jest istotna, to praca równie płodna i pożyteczna jak każda inna. Teatry, wiecie o tym dobrze, żywią i utrzymują w Francji nie mniej, niż osiemdziesiąt tysięcy robotników różnych zawodów: malarzy, dekoratorów, murarzy, architektów i innych, którzy zamieszkuje całe dzielnice naszej stolicy i, z tego powodu, powinni cieszyć się waszą sympatią!

Waszą sympatią! — przekłada się: waszymi pieniędzmi. I dalej:

Uroki Paryża dają pracę i konsumpcję prowincji, a zbytek bogatych daje utrzymanie i chleb blisko dwustu tysiącom robotników wszystkich spec-

jalności, żyjących z tyłu teatrów na obszarze Republiki. Korzystają oni z tych natchnionych rozrywek, które są ozdobą Francji i żywią ich, ich rodziny i dzieci. To im właśnie dacie te 60 000 franków. [Brawo! bardzo słusznie! liczne oznaki aprobaty]

Co do mnie, to mówię: źle i niesłusznie! ograniczając, oczywiście, swój sąd do aspektów ekonomicznych, o które teraz chodzi.

Owszem, owe 60 000 trań, przynajmniej w części, do pracowników teatrów. Jakaś część może zawieruszyć się po drodze, a jeżeli policzymy dokładnie zapewne odkryjemy, że ciastko powychowało zupełnie gdzie indziej i szczęśliwi robotnicy, gdy dotrą do nich choć okrucny! Ale niech będzie, że cała dotacja dotrą do malarzy, dekoratorów, fryzjerów, itd. To widać. Leczą skąd idą pieniądze? Oto odwrotna strona problemu, nie mniej ważna. Gdzie jest źródło tych 60 000, gdzie poszłyby one, gdyby głosowanie nie skierowało ich najpierw do Ministerstwa Finansów, a stamtąd do Zarządu Teatrów? To jest to, czego nie widać.

Z pewnością nikt nie ośmieli się twierdzić, że pieniądze narodali się w urnie w wyniku głosowania, że są czystym dodatkiem do narodowego bogactwa i że bez tego cudownego głosowania pozostałoby na zawsze niewidoczne i nieuchwytnie. Trzeba zgodzić się, że wszystko, co mogła zrobić większość, to zdecydować o zabrananiu ich z jednego miejsca i przesłaniu w inne. Jeżeli rzecz ma się w ten sposób, jasne jest, iż podatek zmuszony do zapłacenia jednego franka, nie może już nim dysponować. Jasne jest, iż będzie on pozabawiony możliwości wydania go na cokolwiek, a robotnik pozbawiony zapłaty za wykonaną rzecz lub usługę. Nie hudźmy się zatem, że głosowanie dodało cokolwiek. Przesunęło jedynie zadowolenie i wynagrodzenia. Ot i wszystko.

Powiecie, że idzie ono w kierunku potrzeb bardziej pilnych, uszczuplonych i moralnych? Mogę walczyć i na tym terenie. Zarówno podatkikom owe 60 000, zmniejszacie dochody cieśli, rolników, powoźników i o tyleż zwiększacie dochody śpiewa-

ków, fryzjerów, dekoratorów. Nic nie dowodzi, że te ostatnie grupy są godniejsze zainteresowania, niż inne. P. Lamartine tego nie twierdził. Mówił, że praca teatrów jest różnie produktywna (nie bardziej) jak każda inna, co może być samo w sobie kontestowane, gdyż najlepszym dowodem stanu przeciwnego jest, że one właśnie zwracają się o wsparcie.

Ale rozważanie związku między ceną a wewnętrzną wartością różnych rodzajów pracy nie jest moim zamiarem. Wszystko co chcę osiągnąć, to wskazać, że kiedy p. Lamartine i ci, którzy bili mu brawo, widzieli lewym okiem dochody uzyskane przez aktorów, winni byli ujrzeć prawym stratę pozostałych podatników, inaczej bowiem wystawiają się na śmieszność biorąc przesunięcie dochodu za dochód. Jeżeli byłoby konsekwentni w swoim rozumowaniu, domagaliby się dużo większych subwencji. To, co jest prawdą dla 60 000, jest prawdą, w tych samych warunkach, dla miliarda.

Kiedy idzie o podatki, panowie, wykażcie ich potrzebę przez solidne argumenty, a nie przez to błędne założenie, że „Wydatki publiczne dają utrzymanie robotnikom.” Ukrywa ono fakt podstawowy: wydatki publiczne dokonywane są zawsze za miast wydatków prywatnych i, w konsekwencji, mogą one dać utrzymanie jednemu robotnikowi zamiast drugiemu, ale nie wspomagają w niczym losu klasy pracującej jako całości. Wasze rozumowanie jest teraz w modzie, lecz jest zbyt absurdalne, by ukryć prawdę.

5. ROBOTY PUBLICZNE

Naturalne jest, kiedy naród zapewniony, że jakieś wielkie przedsięwzięcie przyniesie korzyść wspólnocie, daje publiczne fundusze na jego wykonanie. Przyznając jednak, że moja cierpliwość się wyczerpuje, gdy słyszę, jak na poparcie zamierzonych

inne przywołuje się taki oto błędny argument: „W każdym razie jest to środek stworzenia miejsc pracy.”

Państwo buduje drogę lub pałac, naprawia ulicę, kopie kanał. Przez to daje pracę pewnej liczbie robotników — to widać. Jednocześnie pozbawia pracy innych — tego nie widać. Oto droga w budowie. Tysiąc pracowników przyjeżdża co rano, wraca do domu wieczorem, pobiera wynagrodzenie. Jeżeli budowa nie byłaby postanowiona i fundusze przejęte, ci dzielnicy ludzie nie spotykaliby się, nie mieliby pracy ani pensji. To pewne.

Ale czy to wszystko? Czy cała sprawa nie obejmuje jeszcze czegoś? Czy w momencie, gdy p. Dupin⁷ wypowiada sakramentalne „Zgromadzenie przyjęło”, miliony franków cudownie spływały do państwowej kasy? Czy nie potrzeba, aby państwo zapewniło sobie fundusze tak, jak postanowiło o wydatkach? Czyż nie musi wysłać w bój poborców, by zebrali pieniądze podatników?

Rozważajcie zatem problem w tych jego dwóch aspektach. Widząc użytek, jaki państwo robi z przegłosowanych milionów, nie zapomnijcie o użytku, jaki zrobiliby podatknicy — a nie mówię w ten sposób zrozumiecie, że państwowe przedsięwzięcia to medal o dwóch stronach. Z jednej robotnik zatrudniony z podpięciem! To widać, z drugiej pozbawiony pracy: Tego niebezpieczny w przypadku robót publicznych. Służy on wtedy do naprawiedliwienia pomysłów najgłupszych i największego marnotrawstwa. Jeżeli linia kolejowa lub most mają rzeczywiście użyteczność wystarczy ją przywołać. Jednak gdy nie można, co się robi? Ucieka do oszustwa: „Trzeba zapewnić pracę robotnikom.” To powiedzianwszy, każe się usypywać i niwelować tarasy na Północy Marsowych. Napoleon, jak wiadomo, wierzył, że spełnia dobry uczynek każąc kopać i zasypywać rowy. „Nie patrzcie na

⁷Prawdopodobnie chodzi o Andrzeja Marię Dupin (1783-1846) — prawnika i polityka, przewodniczącego Izby Deputowanych i członka Akademii Francuskiej.

wynik pracy, patrzcie jak bogactwo rozprzestrzenia się wśród klas pracujących."

Przejdźmy do sedna i nie dajmy się zwodzić pieniądzom. Domaganie się od wszystkich pieniężnego wsparcia dla wspólnego działania, jest w rzeczywistości domaganiem się od nich pracy, bowiem każdy poprzez pracę stara się o sumę należnego podatku. A więc, jeżeli zbieramy obywateli dla wykonania rzeczy ogólnej użytecznej, to może być zrozumiałe. Rekompensatą dla nich będzie sam jej rezultat. Ale jeżeli zwoławszy, zmusimy ich do budowy drogi, którą nikt nie będzie jeździł lub pałacu, gdzie nikt nie zamieszka, i to pod pretekstem dostarczenia im zajęcia, będzie to niedorzecznością. Z pewnością odmówią: "Z tej pracy mamy tylko zmęczenie, wolelibyśmy pracować na własny rachunek".

Procedura, która wymusza od obywateli składkę pieniężną, a nie pracę, nie zmienia ogólnego rezultatu. Jedynie, w przypadku tej drugiej, strata rozkłada się na wszystkich, podczas gdy w pierwszej ci, których państwo zatrudnia uciekają od swojej części dokładając ją do ponoszonej przez resztę rodaków.

Jest w Konstytucji artykuł stanowiący: "Spółeczeństwo ułatwia i popiera wzrost ilości miejsc pracy... poprzez organizowanie przez Państwo, departamenty i gminy robót publicznych dla zatrudnienia bezrobotnych". Jako środek przejściowy, w okresie kryzysu czy ciężkiej zimy, ta interwencja ogółu podatników może przynieść dobre skutki. Działa ona podobnie do ubezpieczenia. Nie przynosi wzrostu globalnego zatrudnienia i wynagrodzenia, lecz zabiera je czasem zwyżczajnym, by dodać, ze stratą oczywiście, czasem trudnym. Jako środek stosowany permanentnie, nie jest niczym innym jak ekonomiczną sprzecznością, rujnującym oszustwem, które pokazuje niewiele uzyskanych miejsc pracy, które widać, a ukrywa wiele straconych, których nie widać.

6. POŚREDNICY

Spoleczeństwo to ogół wzajemnie sobie przez ludzi świadczonych usług. Usług przymusowych i dobrowolnych — to znaczy publicznych i prywatnych. Pierwsze — nałożone i reglamentowane przez prawo, które nie zawsze można w potrzebie łatwo znaleźć, mogą wraz z nim przeżyć długo czas swej użyteczności i zachować miano usług publicznych, mimo że nie służą już wszystkim, a nawet wtedy, gdy stanowią już tylko powszechną użyteczność. Drugie są domeną indywidualnej woli i odpowiedzialności. Każdy świadczy i otrzymuje to, co chce i może, po wzajemnym uzgodnieniu. Mają one zawsze realną użyteczność, dokładnie mierzoną ich wartością wymienną. Dlatego też te pierwsze tak często są dotknięte nieruchomością, podczas gdy drugie podlegają prawom postępu.

W czasie, gdy nadmierny rozwój usług publicznych, przez manowtrawienie sił, które angażują, zmierza do wyhodowania ogromnego pasozęta na ciele społeczeństwa, jest dosyć osobliwe, że ludzie nowoczesne sekty przypisują taki charakter usługom świadczonym dobrowolnie i prywatnie, i szukają sposobu, by zaistnieć wolne zawody w urzędnicze funkcje.

Sekty te usilnie sprzeciwiają się tym, których nazywają pośrednikami. Chętnie usunęłyby kapitalistę, bankiera, spekulanta, przedsiębiorcę, kupca i hurtownika, oskarżając ich o stawianie między produkcją a konsumpcją i łupienie obywateli bez stwarzania żadnej wartości — a raczej pragnęłyby oddać państwu pracę, jak tamci wykonują, gdyż ta praca nie może być usunięta.

Wolfgang socialistów polega na pokazaniu publiczności tego, co płaci ona pośrednikom za ich usługi i ukryciu tego, co musiałaby płacić państwu. To zawsze ta sama walka między tym, co trafia się w oczy, a tym co po zastanowieniu dostrzega umysł; między tym co widać, a tym czego nie widać.

Widoczne to było zwłaszcza przy okazji głodu w roku 1847, kiedy socjaliści zdolali spopularyzować swoje zgubne teorie. Wic-dzieli dobrze, że nawet najbardziej absurdalna propaganda ma szansę pośród cierpiących ludzi, nie darmo powiedziano *ma-lesuada famēs*.⁸

Przy pomocy wielkich słów: wyzysk człowieka przez człowieka, spekulacja na ludzkim głodzie, egoizm, postanowili oczernić handel i przesłonić jego dobrodziejstwa. „Czemuz to — mówili — zostawić handlowcom troskę o dostarczenie produktów z Krymu i Stanów Zjednoczonych? Dlaczego państwo, władze regionalne i gminne nie tworzą służb zaopatrzenia i magazynów z rezerwami? Sprzedawałyby one po kosztach i ludzie, biedni ludzie, uwolniliby się od daniny jaką płacą wolnemu handlowi, to znaczy, handlowi egoistycznemu i zamarchizowanemu.”

Danine, jaką ludzie płacą handlowcom widać, tej, którą płaciłby państwu i jego urzędnikom w systemie socjalistycznym nie widać.

Co składa się na ową domniemaną daninę, płaconą handlowi? Czyż ona jest, kiedy dwoje ludzi wymienia swoje usługi, w warunkach wolności, konkurencji i po cenie wzajemnie uzgodnionej?

Kiedy głodny żołądek jest w Paryżu, a pszenica na Krymie, to jedynym sposobem zaspokojenia głodu jest ich wzajemne zbliżenie. Może się ono dokonać na trzy sposoby: 1. Głodni mogą osobiście udać się w poszukiwanie pszenicy. 2. Mogą zdać się na tych, którzy robią to zawodowo. 3. Mogą się złożyć i opłacić w tym celu funkcjonariuszy publicznych.

Który z tych środków jest najkorzystniejszy?

Zawsze, we wszystkich krajach dobrowolnie wybierano drugi. I to tym częściej, im więcej było w kraju wolności i im bardziej ludzie w nim byli doświadczeni. Przyszna, że dla mnie to wystarczy jako rozstrzygający argument. Rozum mój nie przy-

muszę do wiadomości, że ludzie, w swej masie, mylili się w sprawie dotyczącej ich tak bezpośrednio. Tym niemniej rozważmy to dokładnie.

Oczywiście, niemożliwe jest, by 36 milionów obywateli udało się do Odessy po zboże. Pierwszy środek jest nic nie wart. Kon-nimenci nie mogą działać osobiście, mogą natomiast wysłać pośredników: urzędników lub kupców. Zauważmy tym niemniej, że pierwszy sposób byłby najbardziej naturalny. W gminie rzeczy sprawą głodnego jest zdobyć zboże dla siebie. Sam musi podjąć ten trud. Jeżeli ktośkolwiek inny, obojętnie z jakiego powodu świadczy mu usługę i bierze ten trud na siebie, ma prawo do rekompensaty. Mówię to po to, by wskazać, że pośrednicy za swe usługi mogą żądać wynagrodzenia.

Jakkolwiek by było i tak trzeba zwrócić się do tego, kogo socjalista zwą paszorytem. Który z nich: kupiec czy urzędnik jest pa-rytem mniej wymagającym?

Handel (kiedy mówię handel, mam na myśli wolny handel) jest, w swoim własnym interesie, zmuszony na bieżąco obserwować stan zborów na całym świecie, przewidywać zawczasu uro-żaj i potrzeby. Ma wszędzie informatorów, jego flota czeka w portach. Szuka wszędzie oszczędności, chce kupić jak najtaniej i odpaść jak najwcześniej angażując minimum potrzebnych środków. Nie tylko kupcy francuscy, ale kupcy całego świata zaopatrują Francję w chwilach potrzeby. Jeżeli ich własny interes nieuchronnie sprawia, że chcą to uczynić najmniejszym kosztem, to konkurencja równie nieuchronnie prowadzi do tego, iż z ich oszczędności korzystają konsumenci. Z chwilą przybycia zboża, w interesie handlu jest sprzedać je jak najszybciej, aby zmniejszyć ryzyko, zrealizować zysk i rozpocząć na nowo. Wiedzeni przez ceny, kupcy rozprowadzają towar po całym kraju, zawsze rozpo-czynając od miejsc, gdzie cena jest najwyższa — to znaczy brak jest odczuwany najdotkliwiej. Dlatego nie jest możliwe wyobrazić sobie organizację, która lepiej służy głodnym. Piękno tej organizacji, niedostrzegalne dla socjalistów, wynika wprost z jej wolności. W rzeczy samej, konsumenci muszą zwrócić handlow-

⁸ „głód to zły doradca”, Vergiliusz, *Eneida*, VI, 276.

com koszty transportu, przeładunku, magazynowania, etc. Ale w jakim systemie ten, który żąda pszenicę nie musiałby zwrócić kosztów temu, który mu ją dostarczył? Trzeba także zapłacić za wysiadczą usługę. Jeżeli chodzi o wysokość zapłaty, to jest ona zredukowana przez konkurencję do minimum. Jeśli chodzi o sprawiedliwość, to dziwne byłoby, gdyby robotnik z Paryża nie pracował dla kupca z Marsylii, gdy kupiec ten pracował dla niego.

Co stanie się, kiedy, wedle socjalistycznych pomysłów, państwo zastąpi wolny handel? Proszę mi wskazać, gdzie społeczeństwo zyska oszczędności?

Czy w cenie zakupu? Lecz gdy wyobrazimy sobie delegatów 40 tysięcy gmin, przybywających jednocześnie do Odessy, aby w chwili braków zakupić zboże to łatwo przewidzieć ceny. Może w innych kosztach? Lecz czy potrzeba będzie mniej statków, marynarzy, magazynów i tagarzy? Może w zysku kupców? Ale czy wasi delegaci i urzędnicy za darmo pojadą do Odessy? Czy będą pracować w imię braterstwa? Czy nie muszą z czegoś żyć? Czy sądzicie, że nie przekroczy to tysiąc razy tych dwóch, trzech procent zabieranych przez kupca?

Pomyślcie, jak wysokie musiałyby być podatki, pomyślcie o nieuniknionych nadużyciach i niesprawiedliwości takiego systemu, o odpowiedzialności, jaka ciążyłaby na rządzie.

Socjaliści, którzy wymyślili to szaleństwo i w chwilach niechęcia podsuwają je masom, przyznali sobie miano Ludzi postępu. Niebezpieczne jest, że to określenie przyjęło się w powszechnym użyciu. Ludzie postępu! Sugeruje ono, iż panowie ci widzą dalej niż reszta, a ich jedynym błędem jest, że narodzili się zbyt wcześnie i jeżeli nie nadszedł jeszcze czas zlikwidowania prywatnych usług, tych pasażerów, to jedynie dlatego, że powszechna świadomość nie nadąża za socjalistami. Na mój rozum jest dokładnie odwrotnie, i nie wiem do jak barbarzyńskich czasów trzeba powrócić, by znaleźć się na ich poziomie.

Nowocześni sekcjarze bezustannie przeciwstawiają się obecnej organizacji społeczeństwa. Nie zauważają, że wolne społeczeństwo tworzy prawdziwy związek o złożoności o wiele przewyższającej tę, którą tworzy ich bujna wyobraźnia.

Zobaczmy to na przykładzie:

Abym rankiem człowiek mógł się ubrać, niezliczone czynności musiałby być wykonane. Wykarczowano las, osuszono i uprawiono ziemię, obsiano ją odpowiednimi roślinami, dbano o owce, strzyżono je, z wchły zrobiono tkaninę, a z niej ubranie. Te czynności wymagały jeszcze wielu innych. Wyprodukowano narzędzia rolnicze, zatrudniono pasterzy, zapewniono transport. Gdyby w społeczeństwie nie było rzeczywistej organizacji, każdy musiałby wykonywać te czynności samodzielnie, od wycięcia pierwszego drzewa do ostatniego przeciągnięcia igły.

Jednak dzięki właściwemu rodzajowi ludzkemu uspołecznieniu, prace te są dzielone między tysiące pracujących i ten podział następuje dalej, w miarę jak poszczególne czynności są w stanie wydłużyć się i stworzyć odrębny przemysł. Potem następuje podział wytworzonego dobra, według wartości, jaką każdy wnosi do wspólnego dzieła. Jeżeli to nie jest organizacja, to, pytam się, co nią jest.

Zauważcie, że ponieważ nikt nie potrafi stworzyć najmniejszej części materii, ludzie są zmuszeni do wzajemnego świadczenia usług, by pomagać sobie w osiągnięciu wspólnych celów i wszyscy mogą być uważani za pośredników. Jeżeli w trakcie pracy transport okazuje się na tyle ważny, by zatrudnić osobę, dlaczego ma ona być uważana za większego pasażera od np. tkacza. Czy wytworzone towary nie muszą być przewiezione? Czy ten, który to robi, nie poświęca czasu i wysiłku? Czy nie oszczędza ich tym, dla których pracuje? Czy wszyscy w tym samym stopniu nie zasługują na wynagrodzenie, to znaczy na udział w wytworzonym bogactwie po cenie wzajemnie uzgodnionej? Czy dla wspólnego dobra ten podział pracy i dobrowolne umowy nie są konieczne?

Zatem, czy potrzebujemy socialistów, którzy, pod pretekstem organizacji, chcą zniszczyć nasze umowy, powstrzymać podział pracy, zastąpić wysiłek wspólny izolowanymi i cofnąć cywilizację? Czy taka organizacja społeczeństwa, jaką opisałem, jest organizacją gorszą, ponieważ każdy dobrowolnie bierze w niej udział sam wybiera swoje miejsce, określa zakres odpowiedzialności i dba o swój interes? Czy potrzebujemy, by samozwańczy reformatorzy narzucili nam swoje formuły i swoją wolę?

Im bardziej bada się postępowe sekty, tym bardziej wzrasta przekonanie, co leży u ich podstaw: ignorancja obwołująca się nieomylną i, w imię swej nieomyślności, zachwała despotyzm.

Niech czytelnik wybaczy mi tę dygresję. Nie jest ona całkiem bezużyteczna w momencie, kiedy tryady przeciw pośrednikom wyszedłszy z książek saintsimonistów i fourierystów, opanowują naszą prasę i publiczne mównice, poważnie zagrażając wolności pracy i umów.

7. PROTEKCJONIZM

Pan Prohibiusz poświęcał czas i kapitał na przetwarzanie zasobów swych ziem w żelazo. Jako że natura była bardziej łaskawa dla Belgów, dostarczali je Francuzom po niższej, niż p. Prohibiusz, cenie. Oznaczało to, że wszyscy Francuzi (Francja) mogli otrzymać daną ilość żelaza za mniej pracy, kupując ją u zaczętych Flamandów. Ci zaś, wiedzeni własnym interesem, nie żalowali metalu i widzieliśmy, jak co dnia wielu wytwórców gwoździ, kowali, powoźników i innych udawało się osobiście lub przez pośredników, aby zaopatrzyć się w Belgii. Ta sytuacja bardzo martwiła p. Prohibiusza.

Z początku postanowił powstrzymać to nadużycie własnymi siłami. Tak byłoby najlepiej, ponieważ tylko on z jego powołania cierpiał. Wezwał karabin — pomyślał — cztery pistolety za padłownicę pełną naboju i tak zaopatrzone stawię się na granicy

Wam pierwszemu kowalowi lub powoźnikowi, który pojawi się, by prowadzić swoje interesy dam nauczkę — zabije go.

Kiedy już wyruszał, przyszło mu do głowy kilka myśli, które skłoniły jego zapał. Powiedział sobie: przede wszystkim nie jest wykluczone, że nabywcy żelaza, moi rodacy i wrogowie, źle mnie zrozumieją, i miast dać się zabić — mnie zabiją. Poza tym, nawet zmuszając do patrolowania całą moją służbę i domowników, nie zdolałam strzec wszystkich przejść. Wreszcie całe przedsięwzięcie będzie kosztowało drogo, o wiele więcej niż wartość jego rezultat.

Już p. Prohibiusz miał ze smutkiem zostać przy wolności jaką cieszą się wszyscy, gdy promienna myśl oświeciła jego umysł. Przypomniał sobie, że jest w Paryżu wielka fabryka praw. Co to jest prawo? — zapytał — to norma, zarządzenie, dobre lub złe, które raz ogłoszone obowiązuje wszystkich. Aby to wyegzekwować organizuje się siły publiczne i dla ich wyposażenia ściągają z narodu ludzi i pieniądze. Jeżeli zatem otrzymam z wielkiej paryskiej fabryki całkiem malutkie prawo: "Zabrania się sprowadzać żelazo z Belgii" osiągnę zamierzony rezultat.

Kładzając kilka moich lokai na granicy przez dwadzieścia tysięcy synów kowali, rzemieślników i mechaników. Ponadto, aby utrzymać celników w dobrym zdrowiu i samopoczuciu, rozłożenie pomiędzy nich 25 milionów franków odebranych tym samym kowalom i mechanikom. Straż będzie lepsza, nie mnie będzie kosztować, nie będę wystawiony na brutalność różnych handlarzy starzyzna, sprzedam żelazo po mojej cenie i będę zadowolony z błogim odпочynkiem obserwując nasz wielki handel tak haniebnie oszukany. Postanowił zatem niezwłocznie upolować się promotorem wszelkiego postępu w całej Europie. Tak oderżenie będzie celne i warto podjąć trud, by mogło być wyderżone.

Pan Prohibiusz udał się do fabryki praw. Innym razem opowiedział o jego cichych działaniach, dziś chcę mówić wyjątkowo o oficjalnych. Podał posłom pod rozważę następującą argumentację:

Żelazo belgijskie jest sprzedawane we Francji po 10 franków. Wolałbym sprzedawać swoje po 15, ale z powodu przekłętego żelaza z Belgii nie mogę. Stwórcie zatem prawo, które zabroni jego sprzedaży. Ja podniosę cenę o 5 franków, a oto skutki: Za każdy kwintal dostarczonego na rynek żelaza otrzymam, w miejsce 10 — 15 franków. Będę bogacił się szybciej, większe wydobycie, zatrudnię więcej robotników. Oni i ja będziemy więcej wydawać z wielkim pożytkiem dla naszych dostawców i wszystkich dookoła. Ci, mając większy zbył, złożą więcej zamówień przemysłowi i kroku po kroku ożywienie ogarnie cały kraj. Te szczególne 5 franków, które dzięki wam wpadnie do mojej kieszeni, niczym kamień rzucony na wodę, spowoduje nieskończoną ilość rozchodzących się fal.

Oczarowani tą przemową, zachwyceni dowiedziawszy się, jak łatwo za pomocą ustawy polepszyć los ludzi, wytwórcy prawa przefosowali zakaz. Cóż rozprawić o pracy i oszczędzaniu? — stwierdzili — Po co te bolesne środki podnoszenia bogactwa narodowego, skoro jeden dekret wystarczy.

Rzeczywiście, prawo miało wszystkie skutki zapowiedziane przez p. Prohibusza, jednak miało też inne, pomieważ, oddajmy mu sprawiedliwość, jego rozumowanie nie było fałszywe lecz niekompletne. Zachwalając przywilej, opisał efekty, które widać, zostawiając w ciemni te, których nie widać. Pokazał tylko dwie strony, kiedy na scenie jest jeszcze trzecia. Zamierzamy naprawić to przeoczenie przypadkowe lub umyślne.

Owszem, pieniądze wrzucone dekretem do kieszeni p. Prohibusza są korzyścią dla niego i tych, których zachęca do pracy i jeżeli prawo wzięłoby te pieniądze z Księżyca, ta korzyść nie byłaby równoważona przez straty. Niestety, to nie z Księżyca spływają tajemnicze pięciofrankówki ale z kieszeni kowala, wytwórcy gwoździ i innych, jednym słowem Jakuba Poczcwiwa. To on je płaci, nie otrzymując ani grama żelaza więcej. Już na pierwszym rzut oka trzeba uznać, że zmienia to cały problem pomieważ zysk p. Prohibusza jest równoważony stratą Jakuba. Wszystko co ten pierwszy może zrobić z 5 frankami dla rozwoju gospodarki narodowej, drugi i tak robił. Kamień jest rzucony w jedno miejsce i znowa tylko dlatego, że rzucanie w innym zostało prawnie zabro-

nione. Więc to, co widać jest kompensowane przez to, czego nie widać i do tej pory jako rezultat całej operacji pozostaje tylko niesprawiedliwość i, rzecz to zasmucająca, niesprawiedliwość wywołana przez prawo. To jednak nie wszystko. Mówiłem, że w ciemni pozostaje jeszcze trzecia strona. Przywohuj ją tutaj, gdyż ujawnia ona stratę kolejnych pięciu franków. W ten sposób ujrzymy kompletny rezultat dekretu.

Jakub Poczcwiwiec jest posiadaczem 15 franków — owoców swego trudu. Jesteśmy w czasach, gdy jest wolny. Co robi z pięciu franków? Za 10 kupuje jakiś artykuł użytkowy i tym artykułem (lub placą pośredniczą) za kwintal żelaza belgijskiego. Został mu 5 franków. Nie rzuca ich bynajmniej do rzeki ale (i tego nie widać) daje jakimkolwiek przemysłowi — na przykład kowali książkę. W ten sposób gospodarka narodowa otrzymała 15 franków w postaci: 10 dla sklepu i 5 dla księgarni. Jakub otrzymał dwie rzeczy: kwintal żelaza i książkę.

Nastaje dekret.

Jakie będą warunki dla Jakuba, jakie dla gospodarki narodowej? Jakub zanosząc 15 franków w całości p. Prohibuszowi nie może kupić książki. Traci 5 franków. Trzeba to przyznać, nie można zanegować, że restrykcje w handlu podnoszą ceny i konsekwentnie traci. Ale — mówią nam — gospodarka narodowa zyskuje.

Nie, nie zyskuje, gdyż jak poprzednio otrzymuje 15 franków. Tylko po dekrete 15 franków idzie do metalurgii, podczas gdy poprzednio było dzielone między sklep i księgarnię.

Cwał zadawany osobicie przez p. Prohibusza na granicy i ten zadawany przez prawo bywa osądzany odmiennie z punktu widzenia moralności. Są ludzie, którzy uważają, że kradzież traci całą swoją niemoralność, gdy staje się legalna. Co do mnie, to nie potrafię wyobrazić sobie groźniejszych okoliczności. Jakkolwiek by było, pewne jest że skutki ekonomiczne są te same. Wprawdzie rzecz jak chcecie, ale jeżeli patrzycie uważnie, zobaczycie, że z grabieży, legalnej czy nie, nic dobrego nie wynika.

Nie negujemy, że dla p. Prohibiusza i jego przemysłu, lub jeśli chcecie gospodarki narodowej, dekret przynosi pewną korzyść. Zwracamy jednak uwagę, że wynikają dwie straty: jedna dla Jankuba, który płaci 15 franków za to, co miał za 10, druga dla gospodarki, która traci różnorodność. Wybierzcie jedną z nich, która kompensuje zysk, druga stanowi czystą szkodę.

Wniosek: Gwałt prowadzi nie do rozwoju a do zniszczenia. Gdyby kradzież sprzyjała rozwojowi, nasza Francja byłaby dziś bardzo bogata.

8. MASZYNY

„Niech będą przekłete maszyny! Z każdym rokiem ich wzrastająca moc przywodzi do nędzy miliony robotników. Pozbawia ich pracy, z pracą zapłaty, z zapłatą chleba. Niech będą przekłete!”

Oto krzyk, wywodzący się z popularnych uprzedzeń, którego echo pobrzmiewa w naszej prasie. Ale przeklinać maszyny to przeklinać ludzkiego ducha. Przyznając, że odczuwam zakłopotanie widząc ludzi, którzy tak skwapliwie ulegają tej doktrynie.

Ponieważ, jeżeli jest ona prawdziwa, to, konsekwentnie stosowana, do czego prowadzi? Że dobrobyt, bogactwo, szczęście możliwe są jedynie dla ludzi głupich, bezmyślnych, którzy nie otrzymali od Boga zgrabnego daru myślenia, wynalazczości, obszerwacji natury, by uzyskać największy rezultat najmniejszym kosztem. Wręcz przeciwnie, łachmany, nędzne szafasy, głód są niunikionym udziałem każdego narodu, który szuka i znajduje w żelazie, ogniu, wietrze, elektryczności, chemii i mechanice, słowem w naturze, środki wspomagające jego własne siły. Można powiedzieć za Rousseau: „Człowiek myślący, to zwierzę zdeprawowane.”

Co więcej, jako że wszyscy ludzie, od pierwszego do ostatniego, w każdej chwili życia myślą, jak lepiej wykorzystać zasoby

przynośy, jak zredukować wysiłek własny lub przez nich opłacany, jak osiągnąć cel najmniejszym kosztem, trzeba stwierdzić, że idea ludzkość podąża do upadku za przyczyną umysłowej aktywności jej członków.

Jeżeli tak, to statystyki powinny ujawniać, że mieszkańcy hrabstwa Lancaster uciekają z tej ojczyzny maszyn i szukają pracy w Irlandii, a historia pokazywać, jak nieliczne centra cywilizacji zalewane są przez ocean barbarzyństwa.

To nagromadzenie sprzecznych z rzeczywistością wniosków uprzednia nas, że problem posiada ukryte rozwiązanie, które nie zostało wystarczająco opisane. Oto cała tajemnica: za tym, co widać skrywa się to, czego nie widać. Spróbuję rzecz wydobyć na światło dzienne. Moje rozumowanie może być tylko powtórzeniem poprzednich, bowiem chodzi o ten sam problem.

Ludzie, dopóki nie są przymuszani gwałtem, w sposób naturalny skłaniają się ku niskim cenom — to znaczy chcą otrzymać produkt lub usługę kosztem najmniejszej pracy — niezależnie czy niska cenę oferuje producent zagraniczny czy producent mechaniczny. Teorie sprzeciwiające się tej naturalnej tendencji, w obu wypadkach zarzucają jej to samo: dotychczasowe skazanie części ludzi na bezczynność. Ale uwolnienie części pracy nie jest skazaniem ludzi na bezczynność lecz umożliwia wykorzystanie jej gdzie indziej.

W obu wypadkach postępuje się podobnie: stosuje przymus. Ustawodawca zabrania konkurencji zagranicznej i mechanicznej. Czy istnieje bowiem inny sposób przeciwstawienia się naturalnej skłonności wszystkich ludzi prócz pozabawienia ich wolności?

Prawda jest, że w wielu krajach ustawodawcy uderzają tylko w jeden rodzaj konkurencji, ograniczając się do narzekania na drugi. Dowodzi to jedynie ich niekonsekwencji. Nie powinno nas to dziwić. Stosując się do fałszywej zasady, trzeba być niekonsekwentnym, w przeciwnym razie szybko doprowadziłaby nas do zguby. Nie widziano nigdy i nie zobaczy w przyszłości

człowieka, który w całości i do końca stosuje nieprawdziwą doktrynę. Niekonsekwencja ogranicza absurd i jednocześnie go do-wodzi.

Przejdźmy do przykładu, nie będzie długi.

Jakub Poczwiciec zatrudniał dwóch robotników płacąc każdemu po franku. Ale oto wymyślił usprawnienie, zmniejszając ilość potrzebnej pracy o połowę. Zwolnił zatem jednego robotnika i zaoszczędził franka.

Zwolnił robotnika — to widać. Widząc to jedynie mawia się: „Oto jak cywilizacja prowadzi do nędzy, oto jak wolność szkodzi równości. Nowa zdobycz ludzkiego umysłu i nowy robotnik na zawsze zepchnięty w orczył ubóstwa. Wprawdzie możliwe byłoby dalsze zatrudnianie dwóch pracowników, jednak za niższą płacę, na co, zmuszeni sytuacją, na pewno by się zgodzili. Tak oto bogaci stają się bogatsi, a biedni biednieją. Trzeba przebudować społeczeństwo.”

Piękny wniosek i godny przyjętych założeń!

Szczesliwie, tak założenia jak i wnioski, są fałszywe, bowiem za połową zjawiska, którą widać, jest druga, której nie widać. Nie widać franka zaoszczędzonego przez Jakuba i nieuchronnych następstw tej oszczędności.

Skoro Jakub, w skutek usprawnienia, osiąga zamierzony rezultat kosztem jednego franka, zostaje mu drugi. Zatem, jeżeli jest na świecie robotnik oferujący pracę swych rąk, jest też kapitalista oferujący swe pieniądze. Te dwa składniki spotykają się i wspólnie pracują. W dniu, w którym pojawia się podaż i popyt na pracę, pojawia się też możliwość zapłaty.

Udoskonalenie i robotnik opłacany pierwszym frankiem wykonnją obecnie pracę za dwóch. Drugi robotnik, opłacany pozostającym frankiem wytwarza rzeczy nowe.

Co zatem zmieniło się na świecie? Społeczeństwo ma więcej dóbr, dokonane usprawnienie jest darmowym podarunkiem dla ludzkości.

Z mego przykładu można by wyciągnąć wniosek: „To kapitalista zbiera wszystkie owoce mechanizacji. Robotnicy najemni,

niawet jeżeli cierpią tylko przejściowo, nigdy nie odnoszą z niej korzyści. Choć maszyny jedynie przemieszczają pracę, nie zmniejszając całkowitej ilości, to wszakże jej nie zwiększają.”

Nie jest tutaj moim celem rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości.

Chcę jedynie zważyć powierzchowny, bardzo niebezpieczny i powszechny przesąd. Chcę dowieść, że nowe maszyny uwalniając pewną ilość siły roboczej, jednocześnie i nieuchronnie uwalniają również dotychczasowe jej wynagrodzenie. Te środki i uwolnione zasoby pracy współpracują w produkcji rzeczy nowych, których wytworzenie uprzednio było niemożliwe. Otrzymujemy zatem w efekcie więcej korzyści przy tej samej włożonej pracy.

Kto na tym zyskuje?

Początkowo, zgadzam się, kapitalista, wynalazca, ten, który pierwszy z powodzeniem zastosował maszynę. Jest to nagroda za geniusz i odwagę. Zyskuje on oszczędności w kosztach produkcji, które, niezależnie od sposobu wydawania, dają pracę tyłu, ilu woliło użyć maszyny. Wkrótce jednak, konkurencja zmusza do obniżenia ceny właśnie o uzyskane oszczędności. Teraz to nie wynalazca zbiera owoce udoskonalenia lecz konsumenci i pośród nich, oczywiście, robotnicy, czyli całe społeczeństwo. Nie widać, że z oszczędności, jakie zyskują wszyscy nabywcy, mogą być wypłacane wynagrodzenia zastępujące te, które wyeliminowało użycie maszyn.

Wracając do naszego przykładu: Jakub płacił robotnikom dwa franki za pracę. Dzięki jego wynalazkowi koszty robocizny spadły o połowę. Zwolnił jednego pracownika — to widać. Podobnie sprzedawał produkt po tej samej cenie, jego zaoszczędzony frank dawał pracę innemu robotnikowi — tego nie widać. Naturalną koleją rzeczy jest niebawem zmuszony do obniżenia ceny, nie dysponuje już dodatkowym frankiem, nie wspomaga nim nowej produkcji. Jednak każdy nabywca rzeczy wytwarzanej przez Jakuba, kupując, oszczędza franka i te

oszczędności służą opłaceniu nowej pracy. Tego także nie widać.

Problemowi maszyn dawano również inne rozwiązanie. Powiadano: „Maszynny obniżając koszty produkcji, obniżają ceny towarów. Obniżka cen wywołuje wzrost popytu, który, z kolei, wzrost produkcji i ostatecznie zatrudnienie tylu robotników, co przed mechanizacją.” Na poparcie przytaczano przykłady przemysłu włókienniczego, drukarnie, rozwój prasy, itd.

Takie rozumowanie nie jest ścisłe. Wynika z niego, że w przypadku produktów, których spożycie jest stałe lub zmienia się bardzo wolno, mechanizacja zmniejszałaby całkowite zatrudnienie. Nie jest to prawda.

Zalóżmy, że jest kraj, w którym wszyscy noszą kapelusze. Jeżeli, przy pomocy mechanizacji, uda się zredukować cenę kapelusza o połowę, nie wynika stąd w sposób konieczny, że sprzedawca kapeluszy wzrośnie dwukrotnie.

Powiecie, że w takim razie wzrośnie bezrobocie? Tak, według powyższego rozumowania. Nie, według mnie, ponieważ nawet jeżeli nie każdy kupi dodatkowy kapelusz, suma pieniędzy wpływających do gospodarki się nie zmieni. To co nie pójdzie do kapeluszników, trafi do innych przemysłów powodując ich rozwój i popyt na pracę.

Właśnie tak wygląda to w rzeczywistości. Pamiętam gazety po 80 franków, dziś kosztują 48. To 32 franki oszczędności dla prenumeratorów. Nie jest pewne, a co najmniej konieczne, że te 32 franki nadal są wydawane na prasę. Jest natomiast pewne, że gdzieś są wydawane. Jednemu służą do kupowania innych gazet, inny wydaje je na żywność, jeszcze inny na ubrania czy meble.

Tak oto wszystkie gałęzie przemysłu są powiązane. Tworzą one całość gospodarki, której części połączone są niewidocznymi kanałami. To, co jest zaoszczędzone w jednym miejscu, stanowi korzyść dla wszystkich pozostałych. Ważne jest, by zrozumieć, że oszczędności nigdy nie są dokonywane kosztem całkowitej sumy wynagrodzeń i pracy.

9. KREDYT

Od dawna, a zwłaszcza ostatnimi czasy, ludzie śnią o uproszczeniu bogactwa poprzez upowszechnienie kredytu. Nieładzę bym przesadzał mówiąc, że od czasu rewolucji lutowej praparyska wydała ponad 10 tysięcy broszur gorąco zachwalających ten sposób rozwiązania „problemów społecznych”. Niestety rozwiązanie to opiera się na czystej iluzji. Zaczyna się od pomylenia pieniądza z towarem, następnie myli się papierowe banknoty z pieniędzmi i tymi dwoma błędami zamierza poprawić rzeczywistość.

Rozważając ten problem należy stanowczo zapomnieć o pieniądzach i innych środkach pośredniczących w wymianie dóbr, a widzieć jedynie same dobra będące rzeczywistym przedmiotem kredytu.

Kiedy rolnik pożycza 50 franków na plug to faktycznie otrzymuje nie 50 franków lecz plug, a kiedy kupiec pożycza 20 000 franków na dom to otrzymuje dom na kredyt. Pieniądze pojawiają się wyłącznie po to, aby ułatwić wymianę między wieloma stronami.

Piotr może nie chcieć pożyczyć plugu, a Jakub jest gotów pożyczycie pieniądze. Co zatem robi Filip? Pożycza pieniądze od Jakuba i kupuje plug od Piotra. W rzeczywistości przedmiotem pożyczki nigdy nie są same pieniądze, ale dobra i w żadnym kraju nie może zmienić właściciela więcej produktów niż się w nim znajduje. Jakakolwiek byłaby suma pieniędzy w obiegu, ogół kredytobiorców nie może otrzymać więcej plugów, domów, narzędzi i surowców niż posiada ich ogół potencjalnych kredytodawców. Musimy sobie dobrze uświadomić, że każdy pożyczkobiorca wymaga pożyczkodawcy, a sam kredyt zawsze jest długiem.

Do czego zatem służą instytucje kredytowe? Mogą one ułatwić spotkanie trzech, którzy posiadają, z tymi, którzy chcą pożyczyc. Ale to, czego nie mogą, to zwiększyć ilości dostępnych

dóbr. Tymczasem tego właśnie trzeba byłoby dokonać, by osiągnąć cel reformatorów, bowiem pragną oni dać plugi, domy, narzędzia i surowce wszystkim, którzy ich potrzebują.

W jaki sposób chcą tego dokonać?

Dając kredytom państwową gwarancję. Przyjrzyjmy się bliżej tej sprawie, gdyż są tu rzeczy, które widać i takie, których nie widać.

Zażdźmy, że Piotr jest właścicielem jedynego plugu we Francji, a Jan i Jakub chcą go pożyczyć. Jan przez swą pracowitość, cechy charakteru i dobrą reputację jest wiarygodny — ma kredyt. Jakub nie wzbudza zaufania lub wzbudza go mniej. W tej sytuacji Piotr pożyczy plug Janowi.

Ale oto wkracza socjalistyczne państwo i mówi do Piotra: „Pożycz plug Jakubowi, ja gwarantuję ci spłatę, a gwarancja ta jest warta więcej niż Jana. On bowiem odpowiada sam za siebie, a ja, choć nie mam nic, to dysponuję majątkiem podatników i w razie potrzeby ich pieniędzmi spłacę kapitał i odsetki.” W rezultacie Piotr pożyczy plug Jakubowi i to jest to, co widać. Socjaliści zacierają ręce mówiąc: „Patrzcie, nasz plan się powiodł. Dzięki interwencji państwa biedny Jakub ma plug. Nie musi dłużej używać radła, wkroczył na drogę do dobrobytu. To korzyść dla niego i społeczeństwa.”

Ależ nie, panowie! To żaden zysk dla narodu, bo oto to, czego nie widać. Nie widać, że plug otrzymał Jakub tylko dlatego, że nie ma go Jan. Nie widać, że kiedy Jakub zamienił radło na plug, Jan nadal używa radła. To co uważaliśmy za wzrost kredytu jest niczym innym jak jego przemieszczeniem. Ponadto nie widać, że to przemieszczenie pociąga dwie głębokie niesprawiedliwości: 1. Względem Jana, który zasłużył na kredycie, zdobył go przez swą uczciwość i aktywność i czuje się oszukany, 2. Względem podatników narażonych na spłatę długu, który ich nie dotyczy. Powiecie, że rząd oferuje te same ułatwienia Janowi i Jakubowi? Ale nie można pożyczyć dwóch plugów ponieważ jest tylko jeden. Wraca tutaj ciągle to, że poprzez interwencję

państwa nie przybędzie kredytu — plug reprezentuje ogół dostępnego kapitału.

To prawda, że redukuje całą operację do jej najprostszego przypadku. Jednak jeżeli przeanalizujecie podobnie najbardziej złożone rządowe instytucje kredytowe, przekonacie się, że mogą one tylko jedno: przemieszczać kredyt, a nie zwiększyć jego ilość. W danym kraju i danym czasie suma dostępnego kapitału jest ograniczona i wszyscy do niego aspirują. Gwarantując niemożliwe państwo może zwiększyć liczbę kredytobiorców, podnieść stopę procentową (zawsze ze szkodą podatnika) ale nie może zwiększyć całkowitej ilości kredytu.

Nie sugerujcie mi jednak wniosku, od którego niech mnie Bóg broni. Mówię, że prawo nie może sztucznie ułatwiać pożyczek, ale nie mówię, że powinno je utrudniać. Jeżeli w naszym prawie hipotecznym lub gdzie indziej znajdują się przeszkody dla stosowania i upowszechnienia kredytu trzeba je usunąć — nic lepszego, nic bardziej słusznego. To jednak wszystko czego powinni domagać się od prawa godni swego imienia Reformatorzy.

10. ALGERIA

Oto czterech mówców zмага się o głos. Najpierw mówią jednocześnie, potem kolejno. Co mówią? Piękne słowa o wielkości i potędze Francji, o konieczności siewu przed zbiorom, o wspaniałej przyszłości naszej wielkiej kolonii, o korzyściach, jakie przyniesie wysłanie kolonistów naszej przeludnionej Ojczyzny, etc. Wspaniałe popisy oratorskie, zawsze zwieńczone konkluzją:

„Przełotujcie 50 milionów (mniej więcej), by wybudować w Algierii porty i drogi, przewieźć kolonistów, zbudować im domy i wykarczować pola. W ten sposób ulżyście francuskiemu robotnikowi, wspomócie produkcję afrykańską i wzbogaciecie handel Marsylii. Wszystko to z korzyścią dla kraju.”

Wszystko to prawda, jeżeli wspomniane miliony obserwujemy od momentu wydania ich przez państwo, jeżeli patrzymy gdzie idą, a nie skąd pochodzą; liczymy jedynie dobra, jakich przysporzą wychodząc ze skarbcza, a nie liczymy tych, które nie powstały ponieważ pieniądze powędrowały do poborcy podatków; jeżeli tak patrzymy, rzeczywiście mamy same korzyści. Widać domy i porty zbudowane w Algierii, widać rozwój tamtejszej wytwórczości i kilka rąk do pracy mniej we Francji, widać wielki ruch w Marsylii. Wszystko to widać.

Jest jednak jeszcze rzecz, której nie widać. Pięćdziesiąt milionów wydanych przez państwo nie będzie mogło być wydanych przez podatników. Do całego dobra spowodowanego wydatkami publicznymi, trzeba zatem dodać szkody związane z brakiem wydatków prywatnych — chyba że dojdziemy do wniosku, iż Jakub Poczciwiec nie miałby co zrobić z własnie zarobionymi i odebranymi mu przez podatek frankami. Wniosek to absurdalny, bowiem skoro zadał sobie trud, by je zarobić, to miał też nadzieję się nimi posłużyć. Naprawiłby ogródzenie swego ogrodu a nie może; dobudowałby piętro do swego domu a nie może; lepiej by się ubierał, żywił, lepiej wykształcił dzieci, wstąpiłby do towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Tego wszystkiego zrobić teraz nie może. Z jednej strony dobra, których go pozbawiono, z drugiej cieśla, robotnik rolny, krawiec i nauczyciel z jego wioski pozbawieni pracy i wynagrodzenia. To jest to, czego nie widać.

Wielkie nadzieje pokłada się w przyszłej pomysłowości Algierii. Niech będzie. Dobrze by jednak było brać pod uwagę także naraz, jaki w oczekiwaniu na tę pomysłność dotyka Francję. Pokazują mi marsylski handel, lecz jeżeli robiony on jest z podatków, mogą zawsze wskazać równy mu handel zniszczony w reszcie kraju. Powiadają: „Oto kolonista przewieziony do Algierii, oto ulga dla reszty naszego społeczeństwa.” Odpowiadam: „Jak

to możliwe, skoro razem z kolonistą wywozi się kapitał zdolny w kraju zapewnić byt dwóm lub trzem?⁹

Jedynym moim celem jest przekonać czytelnika, że z każdym dobrem przypisywanym publicznym wydatkom związane są szkody dużo trudniejsze do zauważenia. Chciałbym, aby nabrał on zwyczaj widzenia i porównywania obydwu.

Kiedy proponowane są wydatki publiczne, musimy badać ich celowość abstrahując od ich wpływu na zwiększenie ilości miejsc pracy, bowiem zwiększenie to jest jedynie pozorne. Co w tym zakresie mogą zrobić wydatki publiczne, robią i prywatne. Zatem to nie nowe miejsca pracy powinny być przyczyną podjęcia decyzji.

Nie jest tutaj moim zamiarem ocenić celowość wydatków w Algierii, jednak nie mogę powstrzymać się od generalnej uwagi, że następstwa wydatków publicznych zawsze są niekorzystne. Dlaczego tak się dzieje?

Po pierwsze, cierpi na tym sprawiedliwość. Ponieważ Jakub Poczciwiec trudził się dla zarobienia franka, szkoda, że wkracza fiskus, pozbawia go zarobku i przekazuje innemu. Z pewnością od fiskusa i tych, którzy się nim posługują, winniśmy usłyszeć porządne uzasadnienie tej działalności. Nie jest tak, gdy państwo mówi: „Z pomocą tego franka dam pracę robotnikom”, bowiem Jakub nie omieszkaby odpowiedzieć (gdyby wreszcie przestał być ślepy): „Gadaniel! Sam dam im zatrudnienie.”

Po odłożeniu na bok tego argument, cała dyskusja między fiskusem i biednym Jakubem znacznie się upraszcza. Kiedy państwo mówi: „Odbieram ci pieniądze, by opłacić żandarma strzegącego twego bezpieczeństwa, wybrukować ulicę, którą codziennie chodzisz, wynagrodzić urzędników dbających o ochronę twojej wolności i własności, wyżyć żołnierza strzegącego granic” — Jakub płaci bez ociągania. Lecz gdy państwo mówi: „Odbieram ci fran-

⁹ Pan Minister Wojsny potwierdził ostatnio, że osiedlenie jednego kolonisty kosztuje państwo 8 000 franków. Oczywiście jest, iż nieszczęśliwy ci mogliby wygodnie żyć we Francji za 4 000. W czym zatem sprawiamy ulgę krajowi pozbawiając go chłopiecia i środków wystarczających do utrzymania dwóch? [przyj. autora].

ka, by wypłacić jednego *son* nagrody, kiedy dobrze będziesz uprawiał swe pole; by nauczyć twego syna rzeźby, których nie chcesz go uczyć; by pan minister dołożył sto pierwsze danie do swego obiadu; by wybudować dom kolonistów w Algierii, zastrzegając sobie możliwość poboru następnego franka corocznie, by utrzymać kolonistę; i następnego, by utrzymać żołnierza strzegącego bezpieczeństwa kolonisty; i następnego dla generała dowodzącego żołnierzami; itd, itd." — to słyszę biednego Jakuba: "Ten legalny rząd bardzo przypomina «opiekę» zbójców»."

Ponieważ państwo przewiduje sprzeciw, co czyni? Gmatwa wszystko, używa żalosnego argumentu o pracy wytworzonej dzięki podatkom, pokazuje kucharza i sklepikarza ministra, żołnierza, kolonistę i generała, pokazuje to, co widać — i tak długo Jakub, dopóki nie nauczy się brać pod uwagę tego, czego nie widać, będzie oszukiwany. Tego właśnie, przez ciągle powtarzanie, staram się go nauczyć.

Skoro wydatki publiczne przemieszczają pracę, nie zwiększając jej ilości, to można wysunąć przeciw nim drugie, poważne zastrzeżenie. Przemieszczać pracę, to przemieszczać pracowników, to zmieniać naturalne rozmieszczenie populacji. Kiedy 50 milionów zostaje u podatników, to, ponieważ podatnicy są wszędzie, pieniądze ożywają 40 tysięcy gmin we Francji; zostają w otoczeniu, gdzie były wytworzone, równomiernie rozkładają się na wszystkich robotników i wszystkie gałęzie przemysłu. Jeżeli państwo, odebrawszy pieniądze obywatelom, lokuje je w danym miejscu, przyciąga proporcjonalną ilość pracy i pracowników, ludzi wykorzystanych, zdeklasowanych i, ośmielam się powiedzieć, niebezpiecznych gdy fundusze ulegną wyczerpaniu! Lecz ta aktywność, wymuszona i rodmuchana w jednym miejscu, przyciąga uwagę, widać ją, naród oklaskuje, zachwyca się pięknem i prostotą rozwiązania, widzi je jako wzrost i odnowę. Nie widzi jednak równej ilości pracy, prawdopodobnie bardziej rozumnej, zniszczonej w pozostałej części kraju.

11. OSZCZĘDNOŚĆ I ZBYTEK

Nie tylko w dziedzinie wydatków publicznych to, co widać przesłania to, czego nie widać. Pozostawienie w cieniu połowy ekonomii wiedzie ku fałszywej moralności i prowadzi narody do uważania za przeciwnie interesu moralnego i ekonomicznego. Cóż bardziej smutnego i zniechęcającego!

Spójrzcie: Nie ma ojca rodziny, który nie uważa za swój obowiązek nauczyć dzieci porządku, oszczędności i umiarkowania. Nie ma religii, która nie grzmi przeciwko przepychowi i luksusowi. I słusznie!

Z drugiej strony, najbardziej popularne opinie głoszą: "Oszczędzać to osuwać gospodarkę z pieniądza." "Zbytek wielkich daje dostatek małym." "Rozrzutnicy rujnując siebie, wzbogacają państwo." "Na zbytku bogaczy rodzi się chleb dla biednych." Oto oczywista sprzeczność między moralnością i dobrem społecznym. Nie mogę pojąć, jak tyle znamienitych umysłów, po stwierdzeniu tego faktu, może spokojnie spać. Cóż może być bardziej bolesnego, niż uświadomić sobie, że dwie przeciwne tendencje rozdzielają ludzką i obie wiodą ją do upadku. Oszczędność pograża w nędzę, rozrzutność w moralnym rozkładzie.

Szczęśliwie potoczne maksymy stawiające w fałszywym świetle owszędność i zbytek opierają się jedynie na natychmiastowych efektach, które widać, a nie na skutkach ostatecznych, których nie widać. Spróbujmy uzupełnić ten niekompletny obraz.

Mondor i brat jego Arist odziedziczyli po 50 000 franków rocznej renty. Mondor uprawia modną filantropię, czyli zajmuje się trwonieniem pieniędzy. Odnawia meble kilka razy na rok, stroje zmienia kilka razy w miesiącu, przemysłne metody do jących się ucieka, aby je mieć jak najwcześniej znane są na mieście. Mowem wzbudza zazdrość huiaków Balzaka i Aleksandra Dumasa.

Trzeba słyszeć bezustanne peany na jego cześć. „Niech żyje Mondor! To dobroczyńca robotników, mąż opatrnościowy ludzi biednych. Prawdę mówiąc, tarza się w rozpuście, jego powóz zawsze ochlapuje przechodniów, jego osobista godność trochę na tym cierpi... ale cóż, jeżeli nie jest pożyteczny jako człowiek, to przynajmniej użyteczny jest przez swój majątek. Puszczaj pieniądze w obieg. Jego dom jest pełen dostawców, którzy zawsze wychodzą zadowoleni. Czyż pieniądź nie jest po to, by krążyć?”

Arist żyje całkiem inaczej. Jeżeli nie jest egoistą, to co najmniej dba o własny interes. Rozumnie planuje wydatki, umiarkowanie korzysta z rozrywki, myśli o przyszłości dzieci, słowem oszczędza.

Jaka krąży o nim opinia: „Jaki pożytek z tego bogatego skapca? Bez wątpienia, jest coś imponującego w prostocie jego życia, zresztą jest ludzki, szczodry, nie skąpi na dobroczynność, ale i c z y. Nie przejada całych dochodów, dom jego nie jest w nieustannym odnawianiu. Jakież może on mieć poważanie u malarzy, sprzedawców dywanów i wytwórców powozów.”

Te zgnębne dla moralności sądy możliwe są, bowiem wydatki roztutnika rzucają się w oczy, a korzyści z oszczędności pozostają w ukryciu.

Lecz, dzięki Boskiemu Twórcy porządku społecznego rzeczy zostały tak cudownie urządzone, że Ekonomia i Moralność zgaszczają się a mądrość Arista jest nie tylko bardziej godna, ale też bardziej korzystna, niż głupota Mondora. I kiedy mówię korzystna, to nie mam na myśli wyłącznie zysków Arista lub abstrakcyjnego „społeczeństwa”, ale zyski współczesnych mu robotników i przemysłu.

Aby dowiedzieć tego, wystarczy umysłem dostrzec skutki, których nie dostrzegają oczy.

Owszem, każdy może zobaczyć efekty roztutności Mondora: jego wspaniałe powozy, woźniców, obfite oświetlenie domu, bogate dywany i zdobione plafony. Wszyscy znają jego konie wyszycigowe, obiady, które wydaje przyciągają tłumy. „Oto wspaniały

człowiek, nie tylko się nie bogaci, ale prawdopodobnie narusza nawet swój kapitał.” To w i d a ć.

Nie jest natomiast równie łatwo zobaczyć, co dzieje się z dochodami Arista i jak one mają się do interesu robotników. Prześledźmy jednak ich drogę, a przekonamy się, że w s z y s t k i e, c o d o g r o s z a, podobnie jak dochody Mondora idą pracę ludziom. Jest tylko jedna różnica: bezmyślne wydatki tego drugiego będą nieuchronnie się zmniejszać, aż ustaną zupełnie; prze-myślane wydatki pierwszego mogą z roku na rok wzrastać. Skoro tak, to interes publiczny zgodny jest z moralnością.

Arist wydaje na siebie i dom 20 000 rocznie. Gdyby tyle nie wystarczało mu do szczęścia, nie zaskugiwałby na miano człowieka roztropnego. Jest wrażliwy na niedolę biednych i czuje się zobowiązany do udzielania im wsparcia — na dobroczynność przeznaczają 10 000 rocznie. Wśród kupców, przemysłowców i plantatorów ma przyjaciół, którym się nie powiodło. Interesuje się ich sytuacją i stara się im pomóc w sposób przemysłowy i efektywny — pochłania to kolejne 10 000. Wreszcie, nie zapomina o córkach, którym powinien zapewnić przyszłość — w tym celu oszczędza corocznie ostatnie 10 000. Oto całość jego wydatków:

1. Wydatki osobiste	20 000.
2. Dobroczynność	10 000.
3. Pomoc przyjaciółom	10 000.
4. Oszczędności	10 000.

Zbadajmy każdą z tych pozycji a zobaczymy, że wszystkie one biorą udział w obiegu pieniądza w gospodarce.

1. Wydatki osobiste. Mają one dokładnie taki wpływ na gospodarkę, jak wydatki Mondora.

2. Dobroczynność. Pieniądże na nią przeznaczone również trafiają do gospodarci: do piekarzy, rzeźników, krawców, itp. Ich produkty zamiast do Arista trafiają do biedaków i ta zamiana konsumenta nie ma żadnego wpływu na gospodarkę.

3. Pomoc przyjaciółom. Pieniądże ofiarowane lub pożyczone przez Arista nie są zakupywane. Służą do zakupu towarów lub

splaty długów. W pierwszym przypadku trafiają do gospodarki. Z pewnością nie zyskuje ona mniej, niż gdy Mondor kupuje nowego konia wyciągowego. Jeżeli idą na spłatę długów, to pojawia się nowa osoba — wierzyciel, który używa ich na zakup towarów lub zapłatę za pracę. To jedynie dodatkowy pośrednik między Aristem i robotnikami. Osoby się zmieniają, lecz ostateczny sposób wykorzystania pieniędzy nie — w końcu zawsze służą gospodarce.

4. Oszczędności. Tutaj, z punktu widzenia rzemiosła, przemysłu i robotników, Mondor wydaje się mieć przewagę, chociaż moralnie nadal górnie Arist. Zawsze, gdy dostrzegam sprzeczność między podstawowymi prawami natury, odczuwam niemal fizyczny ból. Jeżeli człowiek musiałby wybierać między tymi dwiema postawami, z których jedna narusza jego materialne interesy, a druga sumienie, to nasza przyszłość byłaby tragiczna. Na szczęście tak nie jest i aby ujrzeć, że postępowanie Arista również ekonomicznie jest lepsze, wystarczy zrozumieć to paradoksalne zdanie: *Oszczędzać to wydawać*. W jakim celu Arist oszczędza 10 000 franków? Z pewnością nie po to, by zakopać je w ogrodzie. Oczekuje powiększenia dochodów i kapitału. Pieniądzy, których nie wydaje na bieżące potrzeby, używa do zakupu ziemi, domów, akcji i papierów wartościowych lub lokuje je w banku. Przyjrzyjcie się ich losowi, a zobaczycie, że za pośrednictwem bankiera lub przedsiębiorcy trafiają do gospodarki, tak samo jak pieniądze jego brata wydawane na meble, biżuterię i konie. Arist kupując ziemię lub papiery wartościowe, nie kupuje dóbr konsumpcyjnych, nie daje bezpośrednio pieniędzy przemysłowii. Z tego czyniony jest zarzut. Ale ten, który sprzedaje mi ziemię, potrzebuje pieniędzy, aby je wydać. Tak czy owak pieniądze Arista trafiają do gospodarki i robotników.

Z ich punktu widzenia pomiędzy Aristem i Mondorem jest tylko jedna różnica: Mondor wydaje pieniądze osobście i na siebie, jego wydatki widać; wydatki Arista dokonywane są przez pośredników, daleko od niego, ich nie widać. Ale dla kogoś, kto umie łączyć skutek i przyczynę, to, czego nie widać, jest

równie oczywiste jak to, co widać. W obu przypadkach pieniądze są w obiegu i w skrzyni rozsądnego nie ma ich więcej, niż u rozrzutnika.

Błędne jest zatem twierdzenie, że oszczędność czyni szkodę aktualnemu przemysłowi — pod tym względem jej wpływ jest równie korzystny jak zbytku.

Lecz jeżeli myśl nasza nie będzie ograniczać się do natychmiastowych efektów i wybiegnie w przyszłość, ujrzymy przewagę oszczędności.

Mineło 10 lat. Gdzie podziała się popularność i fortuna Mondora? Nie dostarcza już społeczeństwu 60 000 rocznie, być może nawet jest na jego utrzymaniu. Nie liczy się jako promotor sztuki i przemysłu, nie jest radością swoich dostawców, w niczym nie pomaga robotnikom, ród swój zostawił w ruinie.

W tym czasie pieniądze Arista stale zasilają gospodarkę, co więcej, przybywa ich z roku na rok. Powiększają one narodowy kapitał, czyli źródło, które zasilą wyhodowanie i umožliwiania ich wzrost. Gdy umrze, dzieło kontynuować będą jego dzieci.

Moralna przewaga oszczędności nad rozrzutnością jest oczywista. Pociągające jest, że każdy, kto nie zatrzymuje się na natychmiastowych skutkach ludzkich działań, ale śledzi ich skutki ostateczne, dostrzeże również przewagę ekonomiczną.

12. PRAWO DO PRACY, PRAWO DO ZYSKU

"Bracia, zrózcie się i dajcie mi pracę po waszej cenie" — to prawo do pracy, socjalizm pierwotny.

"Bracia, zrózcie się i dajcie mi pracę po mojej cenie" — to prawo do zysku, socjalizm wyrafinowany.

Jeden i drugi żyje dzięki temu, co widać, ginie przez swe efekty niewidoczne. To, co widać, to praca i zysk osiągnięty przez społeczną składkę. To, czego nie widać, to praca

i zyski, które powstałyby, gdyby ta sama składka została u podatników.

W roku 1848 Prawo do pracy ukazało na moment swe podwójne oblicze. To wystarczyło, by skompromitować je w opinii publicznej. Pierwsze oblicze zwało się *Warsztaty Narodowe*, drugie — 45 centymów. Miliony franków codziennie wędrowało z ulicy Rivoli do Warszatów. To jasna strona medalu. Ale oto jego rewers: aby miliony mogły opuszczać kasę, musiały najpierw tam wejść. Dlatego organizatorzy Prawa do pracy zwrócili się do podatnika.

I oto mieszkańcy prowincji zauważyli: Trzeba zapłacić 45 centymów. Zatem nie będzie można kupić nowego ubrania, nawieźć pola, naprawić domu. Robotnicy na wsi spostrzegli, że ponieważ rolnik nie kupi ubrania, będzie mniej pracy dla krawców; nie nawiezie pola — mniej pracy dla murarzy i cieśli. W ten sposób okazało się, że nie można dwa razy upiec chleba z tej samej mąki i że praca sprzedawana przez rząd dokonuje się zamiast pracy opłacanej przez podatnika. To była śmierć Prawa do pracy, które zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, objawiając przy okazji swą niesprawiedliwość.

A jednak Prawo do zysku, będące jego wyolbrzymioną postacią, żyje nadal i ma się dobrze.

Czy nie jest haniebną rolą, jaką pełni domagający się ochrony producent w społeczeństwie?

Mówi mu: „Musisz dostarczyć mi zajęcie, i to zajęcie zyskowne. Głupio wybrałem dziedzinę działalności i przynosi mi ona straty. Jeżeli nakożysz dwudziestoprocentową kontrybucję na mych rodaków, moja strata zamieni się w zysk. A zysk jest wszak moim prawem, musisz mi go zapewnić.”

Spółczeństwo słuchające tego sofisty, obciążające się podatkami, by go zadowolić, nieświadome, że strata jaką przynosi dany przemysł, nie przestaje być stratą jeżeli zmusi się innych do jej pokrycia, takie społeczeństwo zasługuje na brzemień jakie dźwiga.

Z przykładów, które omawiałem jasno wynika, że nie znając ekonomii narazamy się na oślepienie przez natychmiastowe skutki, znając — możemy ogarnąć myślą i przewidzieć pełen rezultat podejmowanych działań.

Mógłbym w podobny sposób rozważać jeszcze wiele problemów, ale obawiam się monotonii i kończę słowami Chateaubrianda, które wprawdzie dotyczą historii, lecz można je odnieść także do ekonomii:¹⁰

W Historii są dwa rodzaje skutków: jedne widoczne natychmiast, drugie odległe, z początku nieuświadamiane. Często skutki te są przeciwstawne. Jedne pochodzą z naszego płytkiego rozumowania, drugie z odwiecznej mądrości. Sens opatrnościowy zdarzeń okazuje się zwykle później, a Bóg działa na drugim planie. Jeżeli wam sprawa przyjemność, zaprzeczajcie istnieniu „Najwyższej Rady” i nie zgadzajcie z Jej działaniem. Spierając się o słowa, nazywające wewnętrzną siłą rzeczy i prawami rozumu to, co ludzie proszą zwą Opatrznością, ale dostrzegajcie ostateczny wynik. Utrzyście wrędy, że skutki ludzkiej aktywności są zawsze przeciwne do zamierzonych, jeżeli działanie nie jest oparte przede wszystkim na moralności i sprawiedliwości.

Fryderyk Bastiat

¹⁰ Chateaubriand, *Pamiętniki z za grobu*.